

Zbyt daleko, żeby się przejmować? – Wywiad z Nicholasem Kristofem.

Wywiad na prawach wyłączności z Nicholasem Kristofem, dziennikarzem z New York Timesa, dwukrotnym laureatem Nagrody Pulitzera, wyróżnionym w 2016 r. nagrodą „Spirit of Jan Karski Award”.

Bożena U. Zaremba



Nicolas Kristof podczas pracy reporterskiej.

Bożena U. Zaremba: Znane powiedzenie, że śmierć jednostki jest tragedią, ale śmierć miliona to tylko statystyka, jest dzisiaj szczególnie aktualne. W jednym ze swoich ostatnich artykułów porównał Pan syryjską dziewczynkę do Anny Frank, tak jakby chciał Pan nadać kryzysowi w Syrii „twarz”. Uważa Pan, że „twarz” jest niezbędna, żeby ludzie zareagowali?

Nicholas Kristof: Myślę, że tak. W moich artykułach, szczególnie z Darfuru, byłem tak sfrustrowany brakiem reakcji, że zacząłem zgłębiać prace psychologów społecznych, szczególnie profesora Paula Slovic. Badał on przyczyny ludzkiej

empatii i jeden z jego wniosków był taki, że czujemy współczucie nie do grup ludzi, ale do jednostek i reagujemy bardziej na historię jednostki. Doprowadziło mnie to do stworzenia „klucza” do empatii w stosunku do światowych problemów. I tego klucza staram się używać w moich artykułach i książkach.

BUZ: Myśli Pan, że wojna w Syrii i kryzys uchodźczy są teraz najbardziej palącą kwestią?

NK: Jest wiele naglających spraw i nie lubię, kiedy wymaga się ode mnie ich wartościowania, jednak na pewno jest to jeden z głównych problemów. Na całym świecie jest ponad 60 milionów uchodźców i migrantów; wojna w Syrii pochłonęła do tej pory około 470 tysięcy ofiar i liczba ta wciąż rośnie. Niestety, jest wiele innych globalnych problemów, które nas zajmują i które szczególnie leżą mi na sercu – ocieplenie klimatu, rozwijający się konflikt w Sudanie Południowym, prawa kobiet czy wyzysk w celach seksualnych.

BUZ: Czyż nie jest to przytłaczające? W innym artykule stwierdził Pan, że bardziej przejmujemy się śmiercią psa niż człowieka. Czy całkowicie utraciliśmy już zdolność współczucia? Wydaje się, że znajdujemy się w kryzysie, także, jeżeli chodzi i o tę kwestię.

NK: Ludzie rzeczywiście czują się przytłoczeni skalą globalnych

problemów, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć, jednak myślę, że ma to związek z tendencją do zdystansowania się do cierpienia na dużą skalę. Każda pojedyncza reakcja na tragedię jest tylko kroplą w morzu potrzeb, jednak twierdzę, że każda pojedyncza kropla ma znaczenie. Być może nie jesteśmy w stanie pomóc 60 milionom przesiedlonych ludzi, ale z łatwością możemy pomóc jednej rodzinie, która straciła swój dom i walczy o przetrwanie. Z punktu widzenia tej rodziny jej przypadek jest do rozwiązania. Najlepszym przykładem jest historia mojej własnej rodziny.

BUZ: Pański ojciec był uchodźcą, prawda?

NK: Zgadza się. Został przyjęty do USA, [jako uchodźca] w 1951 r., co całkowicie odmieniło jego los. A także mój własny. Prawdziwe nazwisko mojego ojca brzmiało Krzysztofowicz. Razem ze swoją rodziną, mój ojciec działał [podczas II wojny światowej] w polskim podziemiu, na szlaku kurierskim. Mojego krewnego Niemcy złapali na gorącym uczynku z mikrofilmami, w naszym majątku przy granicy polsko-rumuńskiej. Inni członkowie mojej rodziny byli pojmani po polskiej stronie i zostali przewiezieni do Auschwitz, gdzie zostali zamordowani. Natomiast mój ojciec wraz kilkoma osobami został schwytany w Rumunii, gdzie Niemcy mieli silne wpływy, ale nie mieli pełnej kontroli. Moja rodzina zapłaciła dużą łapówkę, aby go wypuszczono, ale jeden kuzyn pozostał w więzieniu do czasu, aż

Rumunia przeszła na drugą stronę. Kiedy świętował koniec wojny [podczas mszy] w kościele, Sowieci aresztowali go, bo podejrzewali, że jest szpiegiem polskiego wolnego rządu. Był za bardzo prozachodni. Zesłano go na Syberię, gdzie zmarł w gułagu. Zobaczyłem, więc, jakie koszty poniosła moja własna rodzina w związku z działaniami wojennymi.

BUZ: Czy te doświadczenia miały wpływ na Pańskie poglądy?

NK: Niewątpliwie. Historia mojego ojca na pewno pomogła ukształtować mój pogląd w sprawie uchodźców i uwrażliwiła mnie na ich tragiczne losy. To jeden z powodów, dlaczego tak żarliwie zajmuję się tą kwestią.

BUZ: Jakie według Pana są obowiązki dziennikarza? Zdać raport czy może coś więcej? Podnosić świadomość społeczną, wpływać na opinię czy pobudzać do działania?

NK: Myślę, że wielu z nas zostało dziennikarzami w nadziei, że nasz głos będzie się liczyć. Wydaje mi się, że kiedy tylko informujemy o życiu celebrytów czy o bieżących wydarzeniach politycznych tracimy ważną część tego, czym powinno być dziennikarstwo. Dziennikarstwo może świetnie wpisać zapomniane kwestie do codziennej agendy; kiedy jakaś kwestia nie przykuwa wystarczającej uwagi, możemy ją naświetlić. Można by więc powiedzieć, że zajmujemy się „biznesem

oświeceniowym”.

BUZ: Czy czuje się Pan w obowiązku w ten właśnie sposób podchodzić do swojego dziennikarstwa?

NK: Tak, chociaż poświęcenie uwagi danej kwestii nie gwarantuje, że pociągnie to za sobą jakieś działanie, czego doświadczył Jan Karski. Ale na pewno jest to niezbędny krok.

BUZ: Informacja o traktowaniu Żydów w czasie II wojny światowej pojawiła się na ostatniej stronie New York Timesa i niektórzy ludzie twierdzą, że jeśli Facebook istniałby w czasie wojny, to Holokaust nigdy nie miałby miejsca. Podpisuje się Pan pod tym stwierdzeniem?

NK: Byłbym ostrożny w formułowaniu takich stwierdzeń – pół miliona Syryjczyków zostało zabitych i mimo, że mamy Facebooka, świat praktycznie pominął to milczeniem. Zgadzam się z tym, że media społecznościowe, zdjęcia i nagrania przybliżają nam cierpienia z odległych krajów, przez co trochę trudniej je zignorować, jednak, jako ludzie mamy niezwykłą zdolność do odwracania wzroku w sytuacji, gdy naprawdę nie wiemy, co zrobić, kiedy pojawiają się ofiary. Mówimy wtedy, że „to są Żydzi” albo „to są Syryjczycy” – „oni są od nas odmienni”. Więc być może media społecznościowe pomogłyby w czasie II wojny światowej, ale nie podejrzewam, żeby końcowy efekt był

znacząco inny.

BUZ: Podobno zainspirował Pan Melinę i Billa Gatesa do skoncentrowania się w ich pracy charytatywnej na światowych problemach zdrowia publicznego. Co uważa Pan jak dotąd za największe osiągnięcie swojego dziennikarstwa w zachęcaniu ludzi do działania?

NK: Jest kilka takich spraw, na które pomogłem (wraz z innymi) zwrócić więcej uwagi i coś zmienić. Jedną z nich jest Darfur, inną handel kobietami na całym świecie, a także prawdopodobnie zdrowie reprodukcyjne, a szczególnie problem przetoki pochwowej. W każdym z tych przykładów ofiary przyciągają coraz więcej zainteresowania i środków.

BUZ: Napisał Pan wiele książek, między innymi „China Wakes” „Half the Sky” i „A Path Appears” razem ze swoją żoną Sheryl WuDunn. Wyobrażam sobie, że współpraca ze współmałżonkiem może być wyzwaniem.

NK: Ludzie często pytają, jak nam się udaje razem pisać książki i dalej być małżeństwem [*śmiech*]. Prawda jest taka, że jeżeli ma się troje dzieci i jest się w stanie razem je wychowywać, wtedy napisanie razem książki to bułka z masłem [*śmiech*]. Sheryl jest naprawdę wspaniałą pisarką i świetnie redaguje teksty.

BUZ: W jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszał Pan o Karskim?

NK: Miałem bardzo mgliste pojęcie o Karskim, ale książka Samantha Power „A Problem from Hell”, w której jest mowa o Karskim, uświadomiła mi, czego dokonał. Zaangażowanie w polskie podziemie rodziny mojego ojca w pewien sposób też mnie do niego zbliżyło.

BUZ: Dlaczego jest on tak ważną postacią?

NK: Z powodu spraw, którymi zajmował się przez całe życie i z którymi my również cały czas musimy się mierzyć:, w jaki sposób my, jako społeczeństwo reagujemy na prześladowania i cierpienie w odległych krańcach świata. Są takie niezwykle postaci w polskim ruchu oporu, jak Jan Karski i Witold Pilecki, których dokonania są po prostu zadziwiające. Oni poświęcili tak dużo i starali się wykrzyczeć całemu światu „Zwróć uwagę!” Ale świat pozostał niewzruszony. Dzisiaj mamy innych „Karskich”, którzy próbują robić to samo, wyeksponować pewne problemy, co sprawia, że Jan Karski jest ciągle aktualny.

BUZ: W co Karski byłby dzisiaj zaangażowany gdyby żył? O co by się troszczył?

NK: Myślę, że kryzys uchodźczy zajmowałby wysoką pozycję na

liście spraw, którymi by się zajmował. Od czasów II wojny światowej nie widzieliśmy tak wielu ludzi w stanie desperacji, opuszczających swoje domy, ryzykujących swoje życie w nadziei na poprawę losu. I znowu nikt nie działa dostatecznie zdecydowanie, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Chodzi mi nie tylko o ich przyjęcie, ale również o poradzenie sobie z przyczynami, przez które ci ludzie tracą swoje domy, co koniec końców jest odpowiednią drogą do rozwiązania ich problemów.

BUZ: Myśli Pan, że popularyzacja spuścizny Karskiego może pomóc rozwiązać dzisiejsze problemy i konflikty?

NK: Tak, myślę, że historia Karskiego jest tak uniwersalna, że także dzisiaj ukazuje nam właściwe wzorce postępowania. Karski jest niezwykłym przykładem odwagi i determinacji, więc może służyć, jako inspiracja nie tylko do empatii, ale także do podjęcia akcji w imieniu tych, którzy tego potrzebują.

Uroczystość wręczenia „The Spirit of Jan Karski Award” odbyła się we wtorek, 1 listopada o 18:30 w The New School w Nowym Jorku.

<http://www.jankarski.net>

Pułkownik Józef Beck



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w Londynie, 4 kwietnia 1939 r. , fot. AP Photo.

Zdzisław Najder

Osiemdziesiąt lat temu, w czasie mojego szczeniństwa, nazywaliśmy naszą Ojczyznę „Polską Niepodległą” albo „Odrodzoną”. Używaliśmy wymiennie obu nazw. W Europie

środkowej był to okres świadomego (albo czasem bezwiednego) szamotania się w poszukiwaniu państwowego bezpieczeństwa. Chodziło o znalezienie możliwie zacisznej pozycji między dwoma potęgami. Jedną był Związek Radziecki, w sierpniu 1920 roku przepędzony z Polski przez wojska dowodzone przez Józefa Piłsudskiego. Stalin zmieniał ZSRR w maszynę do unicestwiania tych, których uznał za wrogów. Drugą potęgą były Niemcy, pokonane w I wojnie światowej. Od roku 1933 nazywały się oficjalnie Trzecią Rzeszą i pod wodzą Adolfa Hitlera szybko rozbudowywały swoją potęgę militarną.

Piłsudski zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Poufnie zaproponował Francji wojnę prewencyjną, by stłumić zagrożenie w zarodku. Francuzi propozycji nie przyjęli.

Urząd polskiego ministra spraw zagranicznych sprawował od 1932 roku pułkownik Józef Beck. Z zawodu był nie dyplomata, ale oficerem i to frontowym, a nie sztabowym, artylerzystą. Podczas I wojny światowej służył w Pierwszej Brygadzie Legionów Piłsudskiego. W lipcu (4-6) 1916 brał udział w ciężkiej bitwie pod Kostiuchnówką na Wołyniu, najkrwawszej, którą Legiony musiały stoczyć. Otrzymał wówczas swój pierwszy Krzyż Walecznych. Później służył jako wysokiej rangi, a co najważniejsze – skuteczny, organizator i dowódca tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. POW działała na ziemiach zaboru rosyjskiego. Walczyła najpierw z Rosją carską, potem z

bolszewikami. Młody Beck odznaczył się odwagą: jeszcze trzykrotnie przyznano mu Krzyż Walecznych, a później także Virtuti Militari. Działalność konspiracyjna musiała być dla niego nie łatwa, bo wyróżniały go i wzrost i nos. Pod obu względami przypominał Charlesa de Gaulle'a.

Beck pochodził z niezamożnej rodziny unickiej. Ojciec był lokalnym urzędnikiem. Urodził się w Warszawie 4 października 1894 r.; w księdze parafialnej (prawosławnej, bo Rosja carska Unii nie uznawała) jego nazwisko zapisano jako „Bek”. Po roku 1939 Hitler kazał wyszukać jego żydowskich przodków. Mimo usiłowań, nie udało się ich znaleźć; rodzina wywodziła się prawdopodobnie z Flandrii.

Cenił piękne kobiety; takie były jego dwie kolejne żony. Był także koniarzem, chociaż nie ułanem, jak Wieniawa, tylko artylerzystą. Za kołnierz nie wylewał, co było nieroztropne dla borykającego się z nawrotami gruźlicy. Umarł na nią dość młodo; przyczynił się do tego gen. Władysław Sikorski, mściwy jak zawsze, odmawiając w 1939 pomocy w wyciągnięciu za granicę internowanego w Rumunii ministra.



Ambasador włoski Alberto Martin Franklin na audiencji u marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Widoczni m.in.: szef Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Józef Beck (pierwszy z lewej), Józef Piłsudski, ambasador włoski Albert Martin

Franklin (pierwszy z prawej), fot. Narodowe
Archiwum Cyfrowe.

Najważniejszą sprawą w życiu i karierze publicznej Józefa Becka była przyjaźń z Józefem Piłsudskim. Znali się dobrze od roku 1913. Beck był wielbicielem marszałka, który cenił pułkownika jako fachowca i miał do niego szczególne zaufanie. W październiku 1920, krótko po zakończeniu wojny z bolszewikami, powierzył mu poufną misję do admirała Mikłosa Horthy'ego, wrogiego komunistom regenta Węgier. Becka właśnie wysłał Piłsudski w styczniu 1921, wkrótce po zajęciu Wilna, do „zbuntowanego” gen. Lucjana Żeligowskiego. W marcu 1925 Beck poprosił marszałka, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym Andrzeja, jedyne go syna. Wkrótce potem, świadom rugowania zwolenników Piłsudskiego z wyższych stanowisk w Wojsku Polskim, Beck sam podał się do dymisji i objął posadę urzędnika bankowego. Paradoksalne zajęcie, bo pułkownik zawsze żył z oficerskiej gaży, a do pieniędzy, nie przywiązywał większej wagi – jak zresztą całe otoczenie Marszałka (który sam utrzymywał rodzinę z honorariów autorskich, a rentę przekazywał na wileński sierociniec wojskowy).

Podczas przewrotu majowego w r. 1926 stanął po stronie Piłsudskiego. W latach trzydziestych spotykali się bardzo często. W końcowym okresie życia marszałek szczególnie się do Becka

zbliżył i wypowiadał się o nim do najbliższych współpracowników zarówno serdecznie, jak pochwalnie:

W mojej pracy nad polityką zagraniczną Polski znalazłem szczególnie zdolnego i inteligentnego współpracownika... Ja nie mogę zrobić Panu dość komplementów, panie Beck.

Rozmawiali głównie o polityce zagranicznej, pasji Piłsudskiego. O ile wiemy, nie było między nimi różnic w ocenie sytuacji międzynarodowej Polski, która z roku na rok stawała się groźniejsza. Złowrogim sygnałem było nie ogłoszenie w Niemczech ustalonego 26 stycznia 1934 roku tekstu niemiecko-polskiej deklaracji o wzajemnej nieagresji. Marszałek był skądinąd zdania, że okres względnej równowagi międzynarodowej nie potrwa dłużej, niż cztery lata. Rozumiał, i Beck dzielił jego pogląd, że położenie Polski staje się tragiczne.

W rządach II RP Józef Beck sprawował różne funkcje; bywał szefem gabinetu premiera, wiceministrem i ministrem spraw zagranicznych. Był wszechstronny i pracowity. Mówił płynnie po rosyjsku, niemiecku i francusku. Urzędnicy republiki francuskiej wystawiali mu wtedy i później ocenę krytyczną. Złośliwie: kiedy 7 marca 1936 wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, łamiąc postanowienia traktatowe, Beck zawiadomił Paryż, że Polska jest gotowa poprzeć zbrojnie sprzeciw francuski. Daremnie. W roku

1939 okazało się, że ówczesni Francuzi nie chcieli umierać nie tylko za Gdańsk, ale nawet za Paryż. W Wielkiej Brytanii natomiast Beck znał osobiście dwu czołowych przywódców konserwatywnych: lorda Halifaxa, który długo miał nadzieję dogadać się z Hitlerem – i Winstona Churchilla, pierwszego Lorda Admiralicji i późniejszego nieugiętego premiera. Ogromną rolę w stosunkach polsko-brytyjskich odgrywał wówczas ambasador RP w Londynie hrabia Edward Raczyński, wybitny dyplomata i jeden z najznakomitszych polityków polskich XX wieku. Miałem zaszczyt go poznać w roku 1957. Zrobił na mnie wielkie wrażenie swoimi horyzontami politycznymi, znajomością spraw krajowych i wszechstronnością umyslową. Zaprzyjaźniliśmy się, mimo różnicy wieku, i przyjaźń ta sprawdzała się do końca. Ostatni raz rozmawiałem z Panem Edwardem, składając mu życzenia świąteczne na Boże Narodzenie w 1984 roku; miał wtedy 101 lat.

Beck i Raczyński znali się i wzajemnie mieli do siebie zaufanie. To umożliwiło im podpisanie 25 sierpnia 1939 roku (w ostatniej chwili przed wybuchem II wojny światowej) układu o pomocy wzajemnej między Polską a Wielką Brytanią. Rzeczpospolita zyskiwała sprzymierzeńca potężnego, bo rozporządzającego największą wówczas marynarką wojenną świata. W dodatku sprzymierzeńca, wygodnie oddzielonego Kanałem od kontynentu europejskiego. Układ wywołał wściekłość obu naszych totalitarnych sąsiadów i spowodował, że Józef Beck stał się

rekordzistą Europy w ściąganiu na siebie oskarżeń i kalumnii. Krytykowali go także polscy wrogowie polityczni – nie potrafiący zresztą oferować własnego wyjścia z sytuacji.



Józef Beck, fot. Narodowe
Archiwum Cyfrowe.

Hitler liczył, że bez trudu upora się z Polską, o wiele słabszą militarnie. Była mało zindustrializowana. Spajanie w jeden sprawny system szkolnictwa i administracji kraju, zeszytego z

trzech bardzo nierówno rozwijających się przez cały wiek XIX części, wymagało wielkiego wysiłku ludzkiego – i pieniędzy. Z ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego lat 1926/7 Polska wydźwigała się bardzo późno. Finansowany całkowicie przez państwo imponujący i szybki rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego (położonego w widłach Wisły i Sanu) zaczął się dopiero wiosną 1937 roku. Wówczas zdążono zainwestować trzy miliardy złotych, jedną czwartą w przemysł zbrojeniowy. Wybudowano m.in. dwie duże – i widowiskowo piękne – elektrownie wodne w Porąbce (na Sole) i Rożnowie (na Dunajcu), projektowane jeszcze przez zamordowanego w 1922 Gabriela Narutowicza.

Aby sobie zadanie ułatwić i jak najbardziej pognębić wroga – *Führer* zawarł układ z naczelnym wrogiem ideowym, Sowietami. „Pakt Ribbentrop – Mołotow” przewidywał podział Europy Środkowej na osobne strefy wpływów, a w tajnym załączniku również rozbiór Polski wzdłuż biegu Narwi i Bugu.

W swoim słynnym przemówieniu w Sejmie RP 23 sierpnia 1939, w którym odrzucił niemieckie ultimatum, Józef Beck umieścił konflikt niemiecko-polski na płaszczyźnie europejskiej. Nie wspomniał ani słowem o ZSRR. Pułkownik znał dobrze Sowiety i wiedział, że dla ich przywódców podpisane porozumienia międzypaństwowe są warte mniej, niż atrament, zużyty na ich własne podpisy. Stawiając Polsce warunki Hitler postulował

zburzenie całego ówczesnego porządku międzynarodowego. I na to polski minister powiedział: nie pozwalam!

Zdawał sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Pojęcie honoru należy do tej samej tradycji myślowej, co pojęcie tragedii. I honor właśnie nadaje sens ludzkim czynom w położeniu beznadziejnym.

Przemówienie Becka było rzecz jasna skierowane przede wszystkim do Sejmu RP i do Polaków. Ale również do Europy Zachodniej. Dla Niemców nie zawierało nic nowego; dla Sowietów – też nie. Decyzje w Berlinie i Moskwie zapadły zresztą już wcześniej. Minister spraw zagranicznych RP wiedział o tym – i obwieścił Europie polską niezgodę na zburzenie całego porządku międzynarodowego. Polskie veto miało niewielkie znaczenie militarne, bo przewaga sąsiadów była miażdżąca. Ale stawiało nas w jednym szeregu z państwami demokracji parlamentarnej.

I do tej nie nazwanej wspólnoty wartości politycznych odwoływaliśmy się uparcie również po II wojnie światowej.

*

Musieliśmy przeżyć pół wieku i wylać morze krwi, aby przy Okrągłym Stole skosztować owoce tego przemówienia. Aleja Józefa Becka, na obrzeżach Warszawy, jest tylko skromnym

upamiętnieniem osoby jednego z najbardziej zasłużonych polityków polskich XX wieku. Jestem przekonany, że Marszałek, zerkając w prawo na własny Plac w Warszawie, widziałby z radością na rogu Wierzbowej (gdzie w czasach II RP mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych) postać swojego ulubionego i najzdolniejszego ucznia.

Profesor z innej epoki

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Starnawski ur. 22 lutego 1922 r., zm. 9 listopada 2012 r.

Wspomnienie w czwartą rocznicę śmierci



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor to mój mistrz i nauczyciel. Miał wielki wpływ na to, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Był naukowcem o fenomenalnej pamięci, perfekcyjnie opanowanym warsztacie literaturoznawczym i wielkiej miłości do literatury polskiej. Przekazał mi zobowiązanie wobec polskiej kultury.

Można o nim opowiadać anegdoty, bo w realnym życiu był czasami nieobecny, ale jego wkład w badania nad polską literaturą jest ogromny, a ilość napisanych prac niebywała.

Pamiętam mój pierwszy wykład na polonistyce na Uniwersytecie Łódzkim. Prowadził go prof. Jerzy Starnawski – opiekun naszego roku. Podczas wykładu narzekał, że młodzież teraz nie zna greki i łaciny. Zobowiązywał nas, żeby braki licealne nadrabiać, bo jacy z nas będą humaniści, skoro nie znamy języków klasycznych.

Wykładał historię literatury staropolskiej. Naszym podstawowym podręcznikiem miał być tzw. „Chrzan”, czyli podręcznik Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)”. Podręcznik ten mieliśmy uzupełnić nowszymi opracowaniami (Jerzego Ziomka – „Renesans”, Czesława Hernasa – „Barok”). Mówił, że wprowadzie podręcznik Chrzanowskiego ma wady, ale został napisany, gdy Polska była pod zaborami, więc niesie ze sobą wielki ładunek emocjonalny i patriotyczny. Wiedzę można zawsze uzupełnić, a miłość do literatury to bagaż na całe życie.

Na egzamin z literatury staropolskiej na pierwszym roku czekałam przed salą egzaminacyjną przez trzy dni. Od rana do wieczora. Profesor był tak dokładny i tak długo każdego przepytывał, że kolejka niewiele się posuwała. A ja byłam dopiero na „s”. Co jakiś czas ktoś wychodził i opowiadał jak wyglądał egzamin. Profesor strofował za sformułowania – na bazie czegoś, w oparciu o coś. – To jest język ekonomii, a nie literatury – mówił zde gustowany. – I źle się kojarzy z „bazą i nadbudową” z filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Moje odpowiedzi na egzaminie mu się podobały. Czułam, że sprawdzał nie tylko wiedzę, ale i zrozumienie wagi, jaką jest dbanie o polską tradycję literacką. Mimo, że dobrze odpowiadałam, dostałam czwórkę z egzaminu. Na piątkę umie profesor, student najwyżej na czwórkę – to była zasada „Starnaviusa”, jak na niego mówiliśmy.

Na wykład nie wolno było przyjść z kurtką w rękę, czy w płaszczu, nie wolno się było też spóźnić. Profesor rygorystycznie przestrzegał, szacunku dla wykładowcy. Studenci też się starali szanować jego wymagania.

To były czasy, że czuło się duży respekt przed profesorem i nie kwestionowało się jego decyzji, czy zwyczajów.

Profesor Starnawski twierdził, że niezwykle użytecznym przedmiotem w badaniach naukowych jest – pudełko do butów. Do rozmiaru pudełka docina się fiszki i alfabetycznie układa bibliografię. Jeśli trafi się na informację, która musi znaleźć się w naszej pracy, łatwo ją dodać, bez konieczności przepisywania całej bibliografii. W czasach komputerów pewnie trudno sobie wyobrazić, że wiele rzeczy robiło się na „piechotę”.

Gdy przyszedł czas pisania pracy magisterskiej uparłam się na swój temat „Dzieje teatru zamkowego w Łańcucie”. Związane to było z długą historią. Napisałam list do pani kustosz Powozowni

Zamkowej w Łańcucie, Teresy Żurawskiej, z prośbą o bibliografię, kiedy miałam dziesięć lat. Od tej pory zaczęła się korespondencja z nieocenioną panią Teresą, a moja wiedza na temat rodziny Potockich i dziejów zamku wciąż się powiększała. Pracy magisterskiej na taki temat nikt nie napisał, byłaby to praca pionierska. Pani Teresa mnie zachęcała, – Joasiu przyjeżdżaj, pokój gościnny w zamku na ciebie czeka.

Niestety, nie mogłam znaleźć promotora. Profesorowie, do których się zgłaszałam mówili, że nie są specjalistami, bo to temat z historii teatru, a nie literatury, czy że powinnam się specjalizować w jednej epoce, a nie pisać pracę przekrojową. Po którejś odmowie siedziałam zmartwiona na korytarzu i widzę biegnącego przez korytarz profesora Starnawskiego, z ręcznikiem i mydełkiem w ręku. – A ty dziecko, masz już promotora? – dźwięcznie zapytał. – Opowiedziałam więc mu o mojej przygodzie z Łańcutem i podzieliłam się rozterkami. Zaprosił mnie do gabinetu. – To teraz już masz promotora – oznajmił. Profesor uważał, że jeśli student ma jasno określone zainteresowania, nie należy ich ograniczać, a wręcz przeciwnie, rozwijać.

Nie myślałam wtedy, że to będzie początek przygody naukowej, i że związę się z Katedrą Literatury Staropolskiej na długi czas. Przed obroną pracy magisterskiej powiedział, że bym się nie denerwowała, bo to ja jestem największą specjalistką w tym

temacie. Następnego dnia po obronie, profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu o wczesnorannej porze, wyjął stertę prac magisterskich i doktorskich, posadził mnie przy biurku w swoim gabinecie i polecił, żebym się zastanowiła nad tematem doktoratu. Byłam zaskoczona, o doktoracie nie myślałam. Zaproponował mi też asystenturę w jego Katedrze, jak się znajdzie etat. Znalazł się po roku i zaczęłam pracować w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Profesor miał zwyczaj zapisywania różnych instrukcji na skrawkach papieru, odwrocie biletów tramwajowych, tylnej stronie maszynopisu, gdzie czcionka przebijała na drugą stronę. Uważał, że szkoda lasów, że papier trzeba oszczędzać. Teraz łapię się na tym, że też tak robię, wykorzystuję każdą wolną część papieru, na robienie notatek.

Nie marnował też czasu, zawsze coś czytał, albo notował. Nawet w kolejce do życzeń ślubnych czytał poezję Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

Kiedyś przyszedłam do niego z listem Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego – literata i ministra wojny z okresu Powstania Listopadowego, do mojej prapraprababci Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze Pawle Sokołowskim. List ten był w zbiorach rodzinnych. Profesor sprawdził w Nowym Korbucie i w Estreicherze, że taki rękopis nie jest skatalogowany. Potem

skonsultował się z grafologiem, czy podpis jest oryginalny. Był oryginalny. Dostałam więc zadanie napisać artykuł na temat tego rękopisu. Miałam sprawdzić daty urodzin i śmierci wszystkich osób wymienionych w liście i napisać charakterystykę tych osób. Jeździłam po parafiach, sprawdzałam. Miałam motywację rodzinną, a jednocześnie uczyłam się warsztatu naukowego w opracowaniu dokumentu epistolograficznego. Wysłałam ten artykuł i kopię listu do potomków Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego w Montrealu. Ucieszyli się, powiedzieli, że nie mają z swoich zbiorach ani oryginału, ani kopii autografu słynnego przodka.

Profesor Starnawski wysyłał mnie na różne konferencje naukowe, nawet jak nie miałam przygotowanego referatu, żebym uczyła się słuchając najlepszych. Tak poznałam słynnych profesorów Aleksandra Gieysztora, Janusza Tazbira czy Tadeusza Ulewicza.

Pamiętam wizytę na naszym uniwersytecie profesora Bernharda Kytzlera z Berlina. Był on bardzo znanym na świecie specjalistą od literatury klasycznej, a do tego poliglotą. Ja dostałam zadanie, aby się nim zajmować, odebrać z lotniska i zapewnić program w ciągu trzech dni. Pokazałam mu Łódź. Profesor Kytzler był bardzo dociekliwy prosił, żebym mu tłumaczyła nazwy ulic, np. co to był Manifest PKWN, czy co oznacza data 22 lipca. Jak się chciałam poddać, ze względu na braki w słownictwie

niemieckim, profesor nie odpuszczał, pytał się w inny sposób, korzystając z dużej gamy skojarzeń. Miał niezwykłą umiejętność dociekania do sedna.

Aby zapewnić atrakcje profesorowi Kytzlerowi, wymyśliłam wycieczkę do Nieborowa. Pojechaliśmy samochodem z moim tatą. Tata, konstruktor maszyn włókienniczych, uczył się języka chińskiego. Jeździł wtedy do Chin, aby w Azji wprowadzać w życie swoje wynalazki. Wiedząc, że gość zna różne języki, w tym chiński, powiedział kilka zdań po chińsku. Profesor odpowiedział płynnym chińskim. Zauważył, że tata mówi po kantońsku.

Po czasie prof, Starnawski powiedział mi, że przydzielił mi zadanie zajmowania się gościem z zagranicy, abym poznała ludzi ze świata, ćwiczyła język i poradziła sobie sama w kontakcie z ciekawym naukowcem.

W pamięci mam wizytę w ośrodku, gdzie prof. Starnawski odbywał rekonwalescencję po przeżytym zawale. Profesor mówił wtedy, że czuje się jak rozbita szklanka. Na szczęście żył jeszcze wiele, wiele lat. Miał w sobie niebywałą siłę.

O profesorze Jerzym Starnawskim można by długo opowiadać. Był niezwykle ważną postacią w świecie nauki, ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, którego się nie zapomni.

Profesor Jerzy Starnawski – mój Mistrz



Profesor Jerzy Starnawski (po prawej).

Maria Wichowa

Zarys biografii naukowej

Jerzy Starnawski urodził się w Guzówce (pow. Krasnystaw) dn. 27 lutego 1922 roku, jako syn Tadeusza i Marii z Kuczyńskich. W roku 1931 jego rodzina przeniosła się do Lublina. Uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, gdzie w roku 1939 zdał maturę. Przez trzy lata (1933-1936) był uczniem wybitnego polonisty, dra Ludwika Kamykowskiego. *„On mnie uczynił polonistą”* – powiedział po latach Profesor w rozmowie z Marią Bokszczanin („Polonistyka” 1990, nr 10). Odebrał wychowanie patriotyczne. Po wybuchu II wojny światowej, jako żołnierz XIX Dywizji Piechoty uczestniczył w obronie Grodna, następnie został internowany na Litwie i miał być wywieziony w głąb Rosji. Jednak zbiegł z obozu i przez czas jakiś mieszkał w Wilnie. Przy próbie przedostania się do Lublina wpadł w ręce niemieckie. Był więziony razem z jeńcami radzieckimi. Przebywał w obozach Witzendorf, Zeven i Sandbostel. W kwietniu 1944 roku powrócił do Lublina. Pod koniec okupacji działał w tajnym nauczaniu, redagował pismo „W Ogniu Walki”, które następnie zmieniło tytuł na „Jestem Polakiem”.



Jerzy Starnawski



Jerzy Starnawski

Studiował polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1944-1948. Magisterium otrzymał na podstawie pracy *Tragizm w dziełach Karola Huberta Rostworowskiego*. Jego mistrzem był Juliusz Kleiner. Jerzy Starnawski w rok po egzaminie magisterskim doktoryzował się. W roku 1950 niedawno wypromowany doktor podjął pracę w KUL, gdzie był zatrudniony do roku 1964. Najpierw zajmował stanowisko starszego asystenta, od roku 1956, i od roku 1958 docenta. W roku 1964 przeniósł się na Uniwersytet Łódzki, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę w roku 1992 jako kierownik Katedry Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych. W UŁ najpierw był zatrudniony na stanowisku docenta, od roku 1974

profesora nadzwyczajnego a od roku 1981 profesora zwyczajnego. W UŁ stworzył najpierw Zakład od 1981 przemieniony w Katedrę. Równolegle w latach 1975-1984 pracował na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę nadal przez kilka lat pracował na części etatu w UŁ, a oprócz tego w Wyższej Szkole Pedagogiczno - Humanistycznej w Łowiczu.



Profesor Jerzy Starnawski

Był wybitnym uczonym o wielkim dorobku, znanym i cenionym w środowisku slawistów i neolatynistów w całej Europie. Jego

dorobek liczy ok. 1200 artykułów, recenzji, edycji nieznanych utworów wydobytych z rękopisów, listów i innych tekstów. Wśród jego prac jest wiele takich, które informują o odkryciu nowych utworów czy dokumentów liczne inedita. Jego publikacje zawierają wiadomości o odkryciu przez Profesora wielu poloniców, rozsianych po bibliotekach całej Europy, bardzo często dzieł unikatowych, zawartych w rękopisach bibliotek naukowych Paryża, Rzymu, Kopenhagi itd.. Profesor pozostawił po sobie ok. 50 książek. Z nazwiskiem Starnawski polonistom kojarzy się nieodparcie znakomity podręcznik *Warsztat bibliograficzny historyka literatury polskiej* (1971) i *Warsztat bibliograficzny historyka literatur obcych* (1988). Profesor był wybitnym edytorem odkrytych przez siebie tekstów. Doświadczenie zdobyte w praktyce umożliwiło mu napisanie podręcznika *Praca wydawcy naukowego* (1979). Przygotował szereg prac edytorskich, m.in. wydania pism Orzechowskiego w Bibliotece Narodowej (1972), Szymona Starowolskiego *Scriptorum Polonicorum Hecatontas* (*Setnik pisarzy polskich*, 1970) oraz *Sarmatiae bellatores* (*Wojownicy sarmaccy*, 1978). Oba dzieła opublikował we własnych przekładach z łaciny z komentarzem i wstępem oraz wprowadzeniem do lektury. Jerzy Starnawski ma też w swoim dorobku edycję tekstów łacińskich. Zaszczyt mi przynosi wydanie pieśni Eustachego Konobelsdorfa, wydobytego z zapomnienia przez Profesora znakomitego poety XVI w., pochodzącego z Warmii.

Tom: *Eustachius Cnobelsdorf, Carmina Latina, Cracoviae* (1995). Książka wyszła w serii *Corpus Antiquissimorum Poetarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochranovium*, t. 8. To właśnie dzięki staraniom prof. Starnawskiego seria ta została reaktywowana w PAU. Następny 9. również przygotował Jerzy Starnawski, we współpracy z Romualdem Turasiewiczem. Zawiera Marcina Kromera *Carmina Latina* (2003). Mistrz opracował i wydał z przekładem tom *Korespondencja Macieja Kazimierza Sarbiewskiego ze Stanisławem Łubieńskim* (1986). Horacym chrześcijańskim zajmował się przez wiele lat, opublikował na jego temat tak wiele prac, że był najlepiej przygotowanym polskim uczonym do napisania nowej monografii tego poety. Jako edytor Jerzy Starnawski zasłużył się wydając w Bibliotece Filologii Polskiej pod red. Tadeusza Ulewicza tomy studiów zmarłych historyków literatury. Przygotował pracę Wilhelma Bruchnalskiego w książce *Miedzy średniowieczem a romantyzmem* (1975), a następnie zbiór studiów Stanisława Łempickiego *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce* (1992). Poza wymienioną serią wydał wybór prac Ignacego Chrzanowskiego (2003). Dokonał reedycji prac swego mistrza uniwersyteckiego Juliusza Kleinera. Mianowicie przygotował tom jego studiów o Krasińskim (1977), monografię o Słowackim (1999). Jako badacz pozostałych po Kleinerze rękopisów zredagował tom *Studia inedita* (1964), trzeci obejmujący prace o Krasickim, Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim oraz drugą książkę tego uczonego *Sentymentalizm i Preromantyzm* (1975) –

wykłady o literaturze porozbiorowej przed Mickiewiczem.

Jako badacz literatury staropolskiej pracował nad największymi pisarzami okresu renesansu (Rej, Orzechowski, Frycz Modrzewski, Kromer). Jerzy Starnawski ma w swoim dorobku monografię *O zwierzyńcu Mikołaja Reja z Nagłowic* (1971), *Andrzej Frycz Modrzewski. Żywot, dzieło, sława* (1981). Ważną książką jest *Średniowiecze*, wydane w serii Biblioteka Polonistyki (1975, 1989), z obszernym wstępem syntetycznym pt. *Kultura średniowiecza i ze świetnie skomponowanym działem Materiały*, i obejmującym wybór tekstów o wiekach średnich zarówno badaczy polskich jak i obcych. Publikacja ta jest bardzo użyteczna w dydaktyce uniwersyteckiej.

Jako nauczyciel akademicki prowadził wykład z historii literatury staropolskiej. Po przejściu na emeryturę zebrany przez lata materiał zamieścił w książce *Zarys dziejów literatury staropolskiej* (1993). Docenić też trzeba wyniki badań zawarte w książce *Pisarze jezuicki w Polsce (wiek XVI - XIX),. Studia i materiały* (2007). Ważne pozycje w dorobku Jerzego Starnawskiego to monografie i monograficzne zbiory studiów. Trzeba tu wymienić *Drogi rozwojowe hagiografii polskiej i łacińskiej w wiekach średnich* (1993) – zarys monograficzny. Już po wydrukowaniu książki, gdy profesor wręczał mi egzemplarz autorski, zauważył pomyłkę w tytule, bowiem zgodnie z zamiarem autora i z zawartością publikacji powinno być

„hagiografii łacińskiej i polskiej”. Łódzki neolatynista zredagował i prawie w całości wypełnił swymi pracami dwa tomy zbiorowe *Antyk w Polsce* (cz. I, 1992, cz. II, 1998), choć w części drugiej zespół autorów znacznie się rozszerzył. Bardzo intensywnie współpracował z czasopismem „Filomata” w porozumieniu z prof. Józefem Korfantym – redaktorem naczelnym. Przygotował szereg numerów tego pisma, poświęconych antykowi w Polsce: w średniowieczu (nr 403), w epoce renesansu (nr 405,406), w dobie baroku (nr 408), w oświeceniu (nr 412), romantyzmu (nr 414-416), w drugiej połowie w. XIX (nr 419/420). Najwięcej było prac Mistrza, mniej pracowników Katedry i UŁ, do „epok późniejszych” redaktor zapraszał autorów także z innych ośrodków naukowych. W tej grupie prac trzeba też wymienić książkę *Antyk wciąż żywy* (2010). Dość dużo artykułów o tematyce neolatynistycznej zawierają tomy studiów Mistrza: *Odrodzenie. Czasy. Ludzie. Książki* (1991), *W świecie barokowym* (1992), *Wieki średnie i wiek renesansowy w Polsce* (1996), *Od zarania dziejów literatury polskiej po wiek XX* (2003), *Pisarze jezuicki (wiek XVI-XIX). Studia i materiały* (2007), *Z dziejów renesansu w Polsce* (2007).



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor Starnawski dużo wysiłku umysłowego poświęcił badaniu dziejów polonistyki. W jednej z książek omówił dorobek wybitnego historyka literatury Bronisława Chlebowskiego (1986). Następne poświęcone są badaniom środowisk naukowych. Tak więc opracował *Sylwetki lwowskich historyków literatury* (1997), następnie *Sylwetki wileńskich historyków literatury* (1997), *Sylwetki krzemienieckich historyków literatury* („Biesiada Krzemieniecka”, 2003), *Sylwetki lubelskich*

humanistów XIX i pierwszej połowy XX w. (2004). Ponadto wydał cztery tomy prac pt. *Z dziejów polskiej nauki o literaturze* (seria IV 2011), *Z dziejów polskiej nauki o literaturze w wieku XIX i XX* (1997). Opracował *Zarys dziejów katedry języków i literatur słowiańskich w Uniwersytecie Fryburskim* (1984). Zupełnie wyjątkową i fundamentalną pracą profesora jest książka *Dzieje wiedzy o literaturze polskiej do końca wieku XVIII* (1984), wydana przez PAN, Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki. Jako badacz dziejów polonistyki powołał do życia i redagował *Słownik badaczy literatury staropolskiej*, w dziesięciu tomach, opracowany tzw. systemem holenderskim (każdy tom w układzie alfabetycznym A-Z). Zeszyt próbny ukazał się w r. 1986, t.1-10 w l. 1994-2009 i indeks haseł w 2009. Tomy I-VI wydał UŁ, zaś pozostałe ŁTN.

Jerzy Starnawski był znakomitym bibliologiem, wielokrotnie pisał o bibliografiach, bibliofilach i bibliologach dawnych i współczesnych. Opublikował dwa tomy prac pt. *Ludzie książki* (2000-2008). Przez wiele lat prowadził seminarium magisterskie w Katedrze Literaturoznawstwa. Profesor prowadził badania w szerokich kontekstach kulturowych, czego dowodem jest książka *Polska w Europie* (2001). Wykazywał w niej nasze tysiącletnie więzi kulturalne z Europą i dowodził, że nie ma mowy o żadnym wchodzeniu Polski do Europy, bo w jej kulturze jesteśmy od zawsze obecni. Mój Mistrz był znakomitym neolatynistą, znanym w krajach Europy zachodniej. Jest odkrywcą ważnych tekstów

łacińskich i ich edytorem oraz badaczem. Zaczął prezentację swoich studiów bardzo efektownie. Mianowicie w roku 1966 został zaproszony do Brna na zjazd EIRENE (Stowarzyszenia Filologów Klasycznych Krajów Demokracji Ludowej). Przedstawił tam referat o odkrytym przez siebie utworze czeskiego poety Wacława Klemensa pt. *Lechiados Libri IV* z pierwszej połowy XVII w. W tych okolicznościach poznał łódzki uczony profesora Józefa Isejwina z Lovanium, organizatora I Kongresu Neolatynistów, który zainteresowawszy się tym odkryciem zaprosił J. Starnawskiego na ten kongres. Przypisać trzeba, że jako neolatynista łódzki filolog był bardziej znany i ceniony za granicą niż w kraju. Dzieje swych neolatynistycznych peregrynacji naukowych przedstawił w tomie *Kongresy, sympozja, sesje naukowe* (1999). Uczestniczył w nich przez prawie trzydzieści lat. Niektóre prace nad poezją łacińską doby staropolskiej umieścił w tomie *Antyk wciąż żywy* (2010), a niezliczone prace o autorach rodzimych wypowiedziane w mowie Cyserona umieszczał w czasopiśmie. Badał teksty Dantyszka, Knobelsdorfa, Krzyckiego, Reja, Kochanowskiego, Kromera, Sarbiewiskeigo, Wujka, Skargi i innych. Miał bardzo rozległą wiedzę, która pozwalała mu napisać kompetentnie pracę *Poezja nowołacińska krajów Europy środkowej w pracach ostatnich dziesiętności lat* (1988).

Mistrz był bardzo aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Pierwszy odczyt wygłosił tam 25 II 1966 roku.

Mówił na temat *Przydatność znajomości języka łacińskiego dla badan literackich*. Zdarzały się takie lata, gdy występował jako prelegent dwu lub trzykrotnie. W ostatnich latach życia profesor tracił siły, był mniej aktywny w PTF. W lutym 2009 roku podjął decyzję o wystąpieniu z Towarzystwa.



Hojnie płacił daninę swojej ziemi rodzinnej. Ogłaszał liczne biogramy humanistów lubelskich, pisał o osiągnięciach naukowych i kulturalnych Lubelszczyzny, o Lublinie w literaturze i literaturze o Lublinie, o pisarzach Lubelszczyzny. Z wielką sympatią mówił i pisał o Tadeuszu Szeteli, „ludowym historyku”, chłopskim uczonym, autorze dwóch monografii wsi: *Do Brzechowa i Kożuchowa*. Dość dużo miejsca poświęcił w swych badaniach twórcom romantyzmu. We wczesnych latach działalności naukowej ogłosił książkę (pierwszą w swoim dorobku *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych* (1956)), potem *Adam Mickiewicz w poezji polskiej i obcej* (1961), zbiór studiów o twórczości i recepcji czterech wielkich romantyków *W świecie olbrzymów* (1998), a tuż przed śmiercią opublikował tom *W kręgu czterech wielkich romantyków* (2012), jeszcze zdążył wziąć tę książkę do reki i sporządzić notatkę na temat rozdysponowania egzemplarzy autorskich. W tym samym czasie otrzymał paczkę z kolejną książką *Z ziemi przemyskiej i z krajów sąsiednich* (2012). Opublikowaniem książki *Reymont i inni* zareagował na „rok reymontowski” (2000).

Profesor Jerzy Starnawski należał do kilku Towarzystw Naukowych: Towarzystwa Naukowego KUL, Lubelskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w

Przemyślu, gdzie był wieloletnim redaktorem zeszytu *Literatura i Język Rocznika Przemyskiego*. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Zamościu oraz do Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, do Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. W roku 1967 został przyjęty do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Przez wiele kadencji przewodniczył Wydziałowi I Językoznawstwa Nauk o Literaturze i Filozofii. Za swe wybitne zasługi otrzymał członkostwo honorowe ŁTN. Znakomicie organizował prace wydziału, redagował Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń ŁTN. W roku 1992 został członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności a w roku 1997 członkiem czynnym. Przez kilka lat przewodniczył Komisji do badania dziejów polskiej nauki o literaturze przy Komitecie Nauk o Literaturze PAN. Za swą twórczość był uhonorowany nagrodami Rektora UŁ, nagrodami Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał także medal Komisji Edukacji Narodowej.

Wraz z odejściem Profesora Jerzego Starnawskiego na wieczny odpoczynek skończyła się ważna era w badaniach nad literaturą polską w UŁ. To był człowiek – instytucja, znakomity uczony, wyjątkowa indywidualność profesorska, wybitny humanista, erudyta prowadzący dynamicznie badania na wielką skalę i dobrze uprawiający dydaktykę w uczelni, którą dosłownie traktował jak świątynię wiedzy.

Kolekcja z Pańskiej Łaski



Lesław Kukawski, fot. Mariusz Szwarz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Lesław Kukawski od dziecka interesował się kawalerią. Urodził się we Lwowie w 1930 r. Mieszkał niedaleko koszar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Po zakończeniu kampanii wrześniowej nie trudno było o wojskowe akcesoria, czapkę, hełm czy oporządzenie. Wtedy narodził się początek kolekcji. Młody wówczas chłopiec zgromadził pokaźny zbiór wojskowych akcesoriów, ku ogromnemu przerażeniu mamy i babci. Jedną z pierwszych pamiątek w kolekcji był krzyż niepodległości, nadany pośmiertnie wujowi legionście, a przechowywany podczas okupacji przez babcię w wazoniku. Rodzina L. Kukawskiego wyjechała ze Lwowa w 1944 r. i osiedliła się w Krakowie.

Przyszły właściciel zbiorów wybrał studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1950 r. rozpoczął pracę w państwowych stadninach. Tu poznał wielu byłych kawalerzystów, takich jak Karol Rómmel, Adam Królikiewicz, Henryk Roycewicz.

Mieszkał w Trzciance k. Poznania, w majątku Pańska Łaska. Przez wiele lat prowadził 25-hektarowe gospodarstwo rolne i zajmował się hodowlą owiec. Prawdziwy „Dziedzic” jak nazywali go koledzy. Wiele lat był prezesem poznańskiego oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, współpracował z muzeami, występował z odczytami na sesjach naukowych, prowadził ogromną korespondencję, pisał artykuły. A zbiory ? – Właściwie to zrobiły się same – mówił – Czasami sam

się zastanawiam skąd to się wszystko wzięło.

Kolekcja z Pańskiej Łaski początkowo miała być zbiorem kawaleryjskich pamiątek, uratowanych przed zniszczeniem w czasach PRL-u. Potem utworzyło się z nich duże prywatne muzeum. Zbiory zawierają m.in. mundury – ubiór garnizonowy, służbowy, wieczorowy. Poszczególne elementy ułańskiego stroju często pochodzą z różnych stron i trafiły do kolekcji w najrozmaitszych okolicznościach, ale w efekcie mundur jest kompletny. I tak np. ubiór garnizonowy oficera kawalerii składał się z kamgarnowej lub gabardynowej kurtki, bryczesów, długich butów z przypiętymi do nich ostrogami, brązowych skórzanych rękawiczek i pasa. Na kołnierzu kurtki naszyte były proporczyki w barwach pułku oraz wyhaftowane srebrne wężyki. Podczas służby obowiązywało noszenie szabli i pistoletu. Określony regulaminem był również strój wieczorowy oficera kawalerii. Składała się na niego kurtka z odznaczeniami i jedwabne rapcie do szabli. Do tego tzw. szasery czyli długie granatowe spodnie z lampasami i sztyblety – trzewiki z cholewką, a na obcasie z gładkimi ostrogami. Do stroju wieczorowego należały ponadto białe zamszowe rękawiczki i jedwabny, podszyty irchą pas z posrebrzaną klamrą, na której był wizerunek starożytnego wojownika. – Najwięcej mam kłopotu z elementami wyposażenia szeregowego ułana – mówił Lesław Kukawski. – Oficerowie i podoficerowie posiadali prywatne mundury i siodła. Zachowały się one, ponieważ zostały w domach. Natomiast szeregowi i

rezerwiści mieli przydziałowe wyposażenie. Magazyny przejęli okupanci, a żołnierze sprali, zniszczyli, znosili swoje stare mundury. Podobny problem jest z butami, to są szalone rzadkości. Pokazną kolekcję stanowią też ordery i emblematy, sztandary, proporce i buńczuki, siodła i całe końskie oporządzenie oraz bardzo duży zbiór fotografii, na których widać kolejnych dowódców poszczególnych brygad czy sceny z życia pułkowego.

- Czasami dziwią się koledzy, że tak dużo płacę za, wydawałoby się, nieistotny drobiazg. Tak było w przypadku legitymacji płk. Brzezowskiego. Ale w zbieractwie ważne są pewne całości: komplet odznaczeń po jednej osobie, komplet dokumentów. Więc, zamknąłem oczy i kupiłem.

Kolekcja z Pańskiej Łaski ma niewiele białych plam. Właściciel w większości przypadków wiedział, do kogo należał mundur, czy odznaczenie, kto nosił taki, czy inny emblemat. I co stało się z żołnierzem, zginął w walce, umarł po wojnie czy żyje do dziś. Np. długi frencz z beretem, baretkami i odznaką pułkową należał do rtm. Wierzbowskiego z Pułku Uranów Karpackich. Były rotmistrz mieszkał w Kapsztadzie. Będąc kiedyś w Polsce, odwiedził Pańską Łaskę, a po powrocie przysłał swój mundur. Kilka odznak, sznurów i naramienników z własnego munduru podarował dowódca 16 Pułku Dragonów płk. Wejtko, mieszkający w Kanadzie. W zbiorach znalazł się też pas należący

do twórcy legionowej kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego. W czasie II wojny światowej, jego żona wysłała kufry z rzeczami z Krakowa do Lwowa. Kufry zginęły, a pas się zawieruszył i po wojnie trafił do kolekcji.



Lesław Kukawski (z prawej), fot. Mariusz Szwarz.

Ważnym śladem po polskiej kawalerii są również sztandary, proporce, buńczuki. Jeden z proporców właściciel kolekcji dostał od nieżyjącego już płk. Łękawskiego. – Łękawski zaczynał służbę wojskową w II szwadronie Legionów Polskich – mówi Lesław Kukawski. – W 1915 r. był jednym z 63 uczestników szarży pod

Rokitną. Potem dowodził 3 szwadronem 2 pułku szwoleżerów. Dawniej każdy dowódca miał swój proporzec wożony za nim na lancy. Gdy ujednolicono proporce dowódców w całej kawalerii, ten wycofano. Pułkownik zachował swój proporzec na pamiątkę, a w czasie, kiedy przebywał w oflagu, przechowała go żona. – Wiem, że nie ma drugiego takiego proporca, bo 3 szwadron był tylko jeden – dodaje kolekcjoner. Właściciel kolekcji zgromadził na temat ułańskich znaków dużą wiedzę. Najtrudniej jest odtworzyć dany element, jeśli nie istniał przepis regulujący jego wielkość, barwę, rozmiar. Tak było w przypadku buńczuków – dawnego znaku władzy wojskowej. Był to koński ogon, umocowany na drzewcu zakończanym złożonym grotem. W kawalerii buńczuk uważano za wysokie wyróżnienie i cenną nagrodę. Otrzymywał go w brygadzie pułk, który osiągnął w wyszkoleniu bojowym najlepsze wyniki. Nie istniał jednak żaden przepis określający jego wygląd. I tylko poprzez żmudną pracę i zbieranie dokumentacji fotograficznej Lesław Kukawski zinwentaryzował ok. 40 buńczuków.

Na kawaleryjskie tradycje składają się także marsze, zawołania, sygnały. Każdy pułk miał swój własny marsz, stanowiący hymn pułkowy, wykonywany w szczególnie ważnych momentach. Po wieloletniej pracy udało się L. Kukawskiemu skompletować wszystkie zapisy marszy i w większości doprowadzić do utrwalenia ich na taśmie magnetofonowej.

Kawaleryjski pasjonat, który zgromadził dużą wiedzę historyczną, przez wiele lat prowadził korespondencję z byłymi kawalerzystami. Oprócz listów miał także pamiętniki, ofiarowywane mu w prezencie. Tam też zapewne można szukać odpowiedzi na pytania na temat losów polskich ułanów, ich pragnień, nadziei i rozczarowań.

Lesław Kukawski udostępniał swoją wiedzę i zbiory wszystkim, którzy interesują się historią. Organizował wystawy w różnych częściach Polski. Właściciel kolekcji występował z odczytami na sesjach naukowych Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Uczestników sesji, odbywających się niedaleko Poznania czekały niespodzianki. Np. zostali zaproszeni do Pańskiej Łaski, gdzie przed gankiem ujrzeli jeźdźca na koniu w pełnym kawaleryjskim rzędzie. Właściciel zbiorów był pełnym humoru typem gawędziarza, potrafił barwnie opowiadać, przeplatając wiadomości historyczne najrozmaitszymi anegdotami. Przy codziennych obowiązkach gospodarskich znajdował zawsze czas, aby tak rzetelnie z zacięciem i pasją badacza, podejmować studia historyczne i budować prywatne muzeum, aby utrwalić kawałek polskiej historii, w trudnych czasach. – Człowiek jest wciąż nienasycony – mówi właściciel z Pańskiej Łaski – wciąż mało i mało. Pełne mam szafy, mundury nie mają czym oddychać. Złoszczę się. A potem przyjdzie wystawa jedna, druga, ktoś się wpisze. I myślę: a może warto to robić, warto to pokazywać.

Lesław Kukawski zmarł w lutym 2016 roku.



Joanna Sokołowska i Lesław Kukawski w Pańskiej Łasce w 1988 roku.

Ze srebra i drewna



Pamięci poległych w I Wojnie Światowej, Oslavje, Park Pevma.

Ryszard Sawicki

Miał krótko przystryżone włosy ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Wąsy dochodziły do krawędzi górnej wargi i do kątów ust. Regularne, wyraźnie zaznaczone brwi biegły prosto do miejsca, gdzie łagodnie ugiwały się ku dołowi. Oczy przykrywały ciężkie powieki, które schodziły poniżej krawędzi tęczówki. Patrzył spod nich raczej smutnym wzrokiem, którego nie ożywiała żadna wesoła iskra. Można by jego wzrok uznać też za poważny, ale trzeba od razu by dodać,

że z powagą mieszał się właśnie odcień smutku, który zazwyczaj wypływa z przecucia czegoś nieuniknionego, czemu nie można się przeciwstawić, bo i tak będzie co ma być. O tym wiedział patrząc tak właśnie, a nie inaczej. Wiedział, że należy pogodzić się z losem lub raczej z tym, co losem nazywamy, a czego nie potrafimy dokładnie opisać, ani dla czego nie znamy lepszego określenia. Z losem, którego pragniemy, ale i nie pragniemy. Z tym, ku czemu dążymy, ale przed czym chcemy uciec.

Wiedział o tym i nie wiedział zarazem, kiedy patrzył w szklane oko fotograficznego aparatu. Wtedy, gdy znalazł się w górach Dalmacji i dotarł nad wijącą się w krętej dolinie rzekę. Wiedział o swoim losie tyle, ile trzeba wiedzieć, by spoglądać na świat właśnie tak, jak spoglądał: bez szczególnego zainteresowania, ale i bez niechęci, ze współczuciem, ale raczej dla innych niż dla samego siebie.

W budynku szkolnym zamienionym na przyfrontowy szpital znalazł się wraz z kolegami ze służby medycznej. Wkrótce sale przepełniły się rannymi i umierającymi, którymi trzeba było się zajmować, nie miał czasu, by myśleć o tym, co pozostawił za górami, ani też o tych, których pozostawił. Pewnego dnia znalazł jednak chwilę, by napisać list i wysłać go wraz ze swoim zdjęciem. Usiadł przy niewielkim stole w swoim pokoju, rozłożył kartkę cienkiego, zielonkawego papieru, zaostrzył ołówek i zaczął pisać.

Pisał o srebrze i drewnie zamiast o medalach i drewnianych krzyżach. Użył metafory, by uniknąć interwencji frontowego cenzora, nie mógł nazwać rzeczy dosłownie, nie mógł wyrazić swoich myśli w sposób nieskomplikowany, po żołniersku. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że metafory muszą być zrozumiałe dla czytelników, którzy nie wiedzieli nic więcej o wydarzeniach na froncie oprócz tego, co przeczytali w lokalnych gazetach. Chciał opowiedzieć o zdarzeniach, ale nie mógł o nich mówić wprost. Stał się więc mimowolnie poetą. Pisał tak, jakby wierzył, że metaforą można odmienić wojenny los.

Młodsze brata mego dziadka Władysława, Franciszka, znam tylko z jednej fotografii, jednego zachowanego listu i jednej pocztówki. Wiem jak wyglądał, ale nie wiem jak mógłby wyglądać, gdyby dożył mojego wieku. Gdyby postarzał się i zmienił, posiwiał, jak ja. Czy jednak byłby ode mnie bardziej czy mniej siwy, bardziej niż ja jestem teraz, czy może zachowałby ciemne, mocne włosy do późnego wieku, jak jego brat, mój dziadek? Kiedy będę starszy od stryjecznego dziadka, w tym względnym czasie własnej starości, czy będę inny niż on mógłby być? Odpowiedzi nie znajdę, z tym trzeba się pogodzić, jak z wojennym losem. Jak z każdym losem, który raz rozpala, raz wygasza iskry w oczach człowieka, niezależnie od jego woli.

Tylko przeczucie pozostaje nam, nie wiedza, nim popatrzymy w lustro i powiemy sobie: tak, taki jesteś, bo taki miałeś być, takim

właśnie się stałeś. Jeśli w ogóle spojrzenie w lustro będzie możliwe. Jeśli dożyjemy takiej chwili.

W przerwie między jednym a drugim ostrzałem artyleryjskim Franciszek pisał swój list i nie wiedział, że dostarcza wiadomości o sobie i o tym, co się wokół niego dzieje, nie tylko tym swoim bliskim, których znał, ale i tym, których nie znał, a których pojawienie się na świecie mógł jedynie przeczuwać, chociaż nie tak, jak się przeczuwa rozwój zdarzeń, które się wysnuwają ze znajomej przestrzeni.

Pisał do swojego kuzyna, ale i do mnie, wnuka swego brata, chociaż tylko kuzyna nazywał w liście po imieniu, mnie po imieniu nazywać nie mógł, bo nawet najbardziej przenikliwe przeczucie nie podpowiada przecież imion wnuków.

Pisał pod datą 6 listopada 1915 roku do Wielmożnego Pana Antoniego Tabińskiego zamieszkałego we Lwowie, przy ulicy Piekarskiej nr 1/1C, na drugim piętrze. Podał też adres zwrotny: Franciszek Sawicki, J.R. 80-Stab, K und K Feldpostamt 212. Pieczętka na kopercie ma datę o dzień późniejszą, czyli 7 listopada. Na kopercie podpisał się też cenzor wojsk austriackich, chyba Kolski, ale nazwisko jest słabo czytelne.

Kochany Anciu!

Fotografie dostałem przed kilkoma dniami, czy Ci już za nie podziękowałem nie wiem na pewno, byłem bowiem tak roztargniony w ostatnich dniach, że nie mam najmniejszego pojęcia co i do kogo pisałem. Powodów do roztargnienia było aż nadto dosyć. Nie wiedziałem sam co mam najpierw robić, czy pisać testament, czy uczyć się po włosku. To pierwsze było wskazane na wypadek nagłej a spodziewanej co minuta jazdy na 28 centymetrówce, drugie zaś omal się nie przydało podczas również spodziewanej wycieczki do „Wiecznego Miasta”. Ale stało się inaczej. Nie moja w tem zasługa, lecz tych, którzy hojnie będą (prawdopodobnie) obdzielani za zasługi, bo dużo srebra, ale też i dużo drewna na nasz pułk przypadnie. Wiele rzeczy strasznych widziałem i wiele chwil niezapomnianych na wojnie przeżyłem lecz to, co tutaj się działo, to przechodziło już siły ludzkie, a byłem przecież tytko w przedpieklu, bo prawdziwe piekło było dopiero na górze, gdzie wszystko fruwało w powietrzu. Były Twój przyjaciel przestał być grzecznym chłopcem, a zaczął być grubo niegrzecznym, zwłaszcza, gdy zaczęto się dobierać już i do tych, których niby ochrania międzynarodowa urnowa genewska. Rekursować nie było kogo, bo w programie całej tej zabawy był tzw. Trommelfeuer, więc i nasza szkoła bez względu na to, że ozdobiona czerwonym krzyżem, stanęła w ogniu najcięższych armat, deszczu granatów i szrapneli. Byliśmy odcięci od świata, a tymczasem coraz bliższy był ogień karabinowy, więc już zdawało się, że ... albo-albo. Sale

szkolne przepełnione, nie było więc czasu myśleć nawet o tem, że lada chwila może wszystko wylecieć w powietrze. Na szczęście do tego nie doszło, ale za to dom sąsiedni dostał parę szrapneli i lekarz pełniący tam służbę padł na posterunku. Nie należał on wprawdzie do naszego pułku i mało go znałem, ale bardzo mi go żał. My straciliśmy jednego medyka i kilku sanitariuszy, lecz ci byli na linii bojowej. Cała ta bezustanna kanonada trwała bez przerwy dwa tygodnie, lecz, jak wiesz zapewne z dzienników, skończyła się tem, że Włosi zamiast w tryumfie, przyszedli do miasta jako jeńcy. Od dwóch dni panuje już względna cisza. Przed nami leży obfity, na tysiące liczony plon strasznej pracy artylerji. Zima tutaj bardzo lekka, więc spodziewać się można, że nie tylko od kul będziemy przenosić się do krainy chwały. Od wczoraj mamy już parę okazów azjatyckich lub czegoś podobnego. Ja dotychczas czuję się zupełnie zdrowym, czego najlepszym dowodem jest tak obszerny list. Czy wszystko to co piszę będzie zrozumiałym dostatecznie nie jestem pewny. Przyjmij jeszcze raz serdeczne podziękowania za fotografie, jeżeli będziesz miał czas, ochotę i temat, to napisz do mnie. Całuję Cię serdecznie, Cioci rączki całuję, ucałowania dla Adasia, załączam też pozdrowienia dla wszystkich we Lwowie. Kochający brat Franciszek.

Kilka dni wcześniej napisał do rodziców na odwrocie swojej fotografii wykonanej przez kuzyna Antoniego we Lwowie, którą użył jako pocztówkę. I na tej fotografii podpisał się cenzor.

Kochani Rodzice!

Posyłam fotografię wykonaną przez Ancia Tabińskiego, którą mi przysłał ze Lwowa. Spodziewam się, że dojdzie za pośrednictwem żandarmerii. Koło mnie bardzo wesoło nie jest, dotychczas zdrow jestem, daj Boże bym mógł za parę dni tak samo donieść. Dotychczas nie dostałem ani słowa z domu, proszę choć parę słów napisać. Całuję rączki kochanych Rodziców, Czesia i Marysię, kochający syn Franciszek.



Pocztówka wysłana do rodziców we Lwowie.

Rok 1915 był rokiem porażek państw Entanty i sukcesów państw centralnych. Dwudziestego dziewiątego października na froncie południowym, który obejmował front austriacko-włoski, bałkański i Dardanele, Bułgarzy odzyskali Veles, a Francuzi zdobyli stację Strumica. Trzydziestego Francuzi wyparli Bułgarów z rejonu rzeki Vardar koło miejscowości Krivdak. Trzydziestego pierwszego Brytyjczycy wzięli udział w operacjach w rejonie Gevgel i Doiran (Macedonia). Pierwszego listopada Włosi odnieśli sukces w bitwach w pobliżu Gorycji i Zagory. Przełęcz Babunia między Uskuli i Prilepem broniło pięć tysięcy Serbów przeciw sześciu dywizjom nieprzyjaciela. Trzeciego listopada Rosjanie odnoszą sukcesy w bitwach koło Siemkowic nad Strypą i w rejonie Dwińska, biorą do niewoli pięć tysięcy jeńców. Czwartego Turcy atakują pod miejscowością Azac, ale zostają wyparci. Serbowie walczą z Bułgarami pod Izworem w Macedonii. Piątego listopada padł Nisz po trzech dniach ciężkich walk. Niemcy kontrolują dunajsko-ottomańską linię kolejową. Główne siły austriacko-niemiecko-bułgarskie łączą się pod Kriwizem, 35 mil od Niszu. Szóstego niemiecki konwój z amunicją dla Bułgarów i Turków dociera w rejon miejscowości Ruszczuk. Siódmego Niemcy dochodzą do miejscowości Kruszewac i przekraczają rzekę Morawę pod Kryliwem.

W dniach, kiedy Franciszek i jego koledzy cieszyli się względnym spokojem, na innych odcinkach frontu południowego miało miejsce wiele ważnych wydarzeń. Po latach można te wszystkie wydarzenia ująć jednym rzutem oka, ale dla frontowego żołnierza było to trudne, a czasem niemożliwe. Wiadomości docierały zza przełęczy górskich z opóźnieniem, jeśli w ogóle docierały. Franciszek miał za zadanie opiekować się rannymi, bał się, że podczas lekkiej zimy szerzyć się będą choroby. Jemu samemu zdrowie dopisywało. Żałował kolegów, którzy zginęli w bitwie, chociaż nie znał ich dobrze.

Ja, czytelnik listów stryjecznego dziadka, mogę bez trudu sprawdzić kalendarz wydarzeń roku 1915, mogę oglądać fotografie ze wszystkich frontów Pierwszej Wojny Światowej. Ale skazany jestem na to, że nigdy nie dowiem się więcej o tym, co przeżywał Franciszek nad rzeką Soczą, co czuł pisząc list do domu. Nie wiem nawet, czy dotarła do niego odpowiedź od rodziny, ani, czy mógł kiedykolwiek znowu wysłać list do Lwowa.

Przez wiele lat los Franciszka nie był znany nawet najbliższym. Rodzina przekazała z pokolenia na pokolenie tylko tę wiadomość, że stryj Franek nie wrócił z frontu w Dalmacji. W czasie wojny nadeszła krótka wiadomość od administracji wojskowej o tym, że poległ. Żadnych szczegółów, tajemnica wojskowa. Po zakończeniu działań wojennych przyszedł do Józefa Sawickiego przyjaciel Franka, który służył w tym samym pułku i powiedział,

że Franek zginął od odłamka pocisku artyleryjskiego, który trafił go w głowę, kiedy klęczał przy łóżku. Do tej informacji prababka, żona Józefa, dodała swoje opowiadanie. Pewnej nocy, jeszcze podczas wojny, a przed oficjalnym powiadomieniem, które nadeszło od władz wojskowych, zbudziła się i powiedziała do męża, by poszedł do swojej kancelarii, bo tam na kanapie śpi Franek. „Właśnie przyjechał i śpi”, powiedziała.

Moja wiedza o Franku jest trochę taka, jaką przekazała prababka Helena, czyli graniczy z wiarą w duchy, a trochę taka, jaką przekazali inni członkowie rodziny, u których Franek nie sypiał na kanapie. Mogę ją wzbogacić dzięki temu, że zbiory archiwalne stają się coraz łatwiej dostępne w wyniku zmian politycznych. Kiedy pierwszy raz usłyszałem od drugiej żony pradziadka, Heleny (żyła ponad sto lat, więc zdążyłem odwiedzić ją w Jarosławiu, gdzie mieszkała z córką Marią po Drugiej Wojnie Światowej), opowiadanie o wizycie Franka w ich domu za Bugiem, to właśnie opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie, a nie lektura dokumentów. I zazdrościłem jej tamtego spotkania.

Zazdroszczę też stryjowi Leszkowi, młodszemu bratu ojca, jego wyprawy nad rzekę Soczę w lecie 2001 roku. Taką wyprawę chciałbym sam przeżyć. Byłaby to wyprawa podobna do tej, którą odbyłem z ojcem w 2005 roku do miejsc, gdzie znalazł się on w czasie Drugiej Wojny Światowej. Żałuję tylko, że Franek nie

będzie mi takim samym towarzyszem, jakim był ojciec. Chciałbym pojechać w Dolinę Isonzo nie latem, a późną jesienią, by poczuć wiatr wiejący ku północy w górę rzecznej doliny. Chcę przemierzyć własnymi stopami ulice paru miast w Julijskich Alpach. Chcę zaglądać w okna domów, porozmawiać z mieszkańcami. Dzięki poszukiwaniom Leszka wiem, że budynek szkolny, w którym umieszczono polowy szpital został wprawdzie przebudowany, ale stoi na tym samym miejscu. W muzeum w Caporetto jest sporo eksponatów, które stanowią przedmioty pozostawione przez żołnierzy kilku walczących armii. Są dokumenty, a wśród nich listy wysłane z frontu i na front, podobne do listu Franka z 6 listopada 1915 roku. Można w nich znaleźć żywe niegdyś, a dziś uśpione myśli, którymi dzielili się krewni z krewnymi, przyjaciele z przyjaciółmi... ludzie z ludźmi. Myśli wyrażane w różnych językach, ale w każdym z nich przynajmniej trochę zrozumiałe dla osoby, która zna treść jednego z nich. Myśli te są jak cienie cieni, ale przecież są. Odczytuję te myśli z listu i pocztówki Franka, może odczytam więcej z innych listów, uzupełnię wrażenia, domyślę się szczegółów, utworzę własne tło dla metafor w nich zawartych. Kiedyś podróżowałam do zupełnie obcych miejsc, teraz podróżuję przede wszystkim tam, gdzie rozpoznać mogę znane mi ślady. I dołączyć do nich swój ślad. Dołączyć cień do cienia.



Szkoła w Pevmie (odbudowana). Tu znajdował się w 1915 r.

szpital polowy, w którym zginął stryj Franek, fot. Leszka Sawickiego.

Leszek zaczął swoje poszukiwania pisząc listy do austriackich placówek dyplomatycznych. Ambasada Austrii w Warszawie odesłała jego prośbę o informacje do konsulatu w Krakowie, a ten skierował ją do państwowego archiwum w Wiedniu. Po miesiącu Leszek dostał odpowiedź. Dyrektor Archiwum, Christoph Tepperberg, HR Dr, informował w uprzejmym tonie, że

Franz Gwido Sawicki, urodzony w 1887 roku w Białym Kamieniu (Złoczów, Galicja), rzymski katolik, podoficer sanitarny cesarsko-królewskiego pułku piechoty nr 80 w stopniu zugsfuehrera, tytularnego feldfebla, poległ dnia 30 listopada 1915 roku w Pevmie (Gorycja) i tam został pochowany na cmentarzu wojskowym.

Leszek odszukał przy pomocy szkła powiększającego niewielki punkt z nazwą „Pevma” widniejący na mapie rejonu Gorycji, na przedpolu Alp, tuż przy granicy włosko-słoweńskiej. Wybrał się tam wraz z żoną samochodem w 2001 roku. Opowiadał, że zdecydowali się opuścić pod Willach zatłoczoną austriacką autostradę i jadąc dalej wąską szosą po kwadransie pokonawszy

stromą przełęcz Wuerzenpass, znaleźli się w Słowenii, w kraju dopiero od dziesięciu lat niepodległym, choć od Wielkich Wojen minęło sporo lat. Zatrzymali się na krótki odpoczynek w przydrożnej kawiarni. Dostali olbrzymie porcje jabłkowego strudla. Podczas posiłku wdali się w rozmowę z lokalnymi mieszkańcami i szybko odkryli, jak miło znaleźć się byłemu Lwowiakowi i Galicjaninowi w kraju, gdzie słowo „fiakier” znaczy „fiakier”, a „precel” znaczy „precel”. Leszek poczuł się prawie u siebie, tak, jak się czuje w Pradze czy Bratysławie. I nawet w stolicy państwa Franciszka Józefa, w Wiedniu, gdzie podobizny cesarza używane są do dekoracji witryn sklepowych, a przewodnik po pałacu Schoenbrunn objaśnia, że w tym pokoju, na żelaznym polowym łóżku sypiał *der liebe, alte Kaiser*.

Po posiłku i miłych wspomnieniach Leszek i Maria pojechali dalej. Przez godzinę podjeżdżali na przełęcz Wrsic, która rozcina główny grzbiet Alp Julijskich na wysokości 1,611 metrów. Na przełęczy, po uciążliwej jeździe pod górę, czekała na nich kolejna miła niespodzianka. Otworzył się przed nimi obszerny widok na Dolinę Isonzo. Po lewej, na ramieniu stromego łańcucha górskiego Prisojnika (2,547 mnp), zobaczyli czarne wnęki potężnego austriackiego bunkra, pozostałość po linii obronnej, która zatamować miała pochód armii włoskiej w głąb terytorium Austrii. To w tej dolinie Franek udzielał pomocy rannym kolegom, to tutaj słyszał w przerwach pomiędzy kanonadami artyleryjskimi bicie dzwonów dobiegające z pobliskich świątyń.

Może zastanawiał się, jak zapewne wielu z jego szpitalnych podopiecznych, komu tego czy innego dnia, który dzwon wybije. Kiedy mógł odpocząć przy swoim polowym łóżku i wpadał w zadumę, wtedy dźwięk dzwonu musiał wydawać się szczególnie donośny. Klękał więc i odmawiał pacierze. Tak samo czynił zresztą podczas ostrego ostrzału artylerii, gdy każdy kolejny pocisk niośł śmierć i zniszczenie. Po ostrzale podnosił się i biegł z noszami w kierunku okopów. Aż i jego uderzył odłamek pocisku. Franek był jednym z tych lwowskich studentów, których objęła wojenna mobilizacja 1914 roku. Znalazł się w 80 pułku piechoty Najjaśniejszego Pana, który stacjonował we Lwowie, przy ulicy Św. Piotra na Łyczakowie. Lwowski garnizon tuż przed wojną liczył jedenaście tysięcy żołnierzy, a żołnierze w niebieskawych mundurach stanowili element miejskiego folkloru. Krążyły o nich rozmaite wesołe anegdoty. Bataliony obu lwowskich pułków, 30 i 80, znalazły się na włoskim froncie, gdy rząd Italii opowiedział się po stronie Ententy, przeciw monarchiom Austro-Węgier i Niemiec. Była to wojna narodów i przypominała wojny napoleońskie. W armii austro-węgierskiej służyli przedstawiciele wszystkich narodowości cesarstwa, a więc Austriacy, Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Rusini, Bośniacy. Austriaków wspierali Niemcy, a Włochów Francuzi, Anglicy, Amerykanie.

Nad przełęczą Wrsic wiał wiatr, kiedy Leszek i Maria wsiedli znowu do samochodu, by zjechać doskonałą szosą biegnącą w

dół ku rzece Jechali pośród alpejskich łąk, mijali domy o brunatnych poddaszach i czterospadowych dachach, typowe w tej okolicy Alp. Rzeką Socza płynęła coraz szerszym korytem ku południowi, tworząc piękne krajobrazy. W górnym biegu jej wody wydawały się turkusowe, w dolnym przybierały barwę malachitu. Woda kontrastowała z białymi wapiennymi ścianami, które odbijały się dokładnie w ciemnym lustrze wszędzie tam, gdzie nurt był spokojny. Czasem nurt był jednak tak spieniony, że biel wody i biel skał zlewała się razem, chyba, że czeluście były zupełnie zasłonięte przed wzrokiem ciekawych podróżnych. Dziś Socza jest popularnym rejonem spływów kajakowych, odbywają się też na rzece międzynarodowe zawody wodnych sportowców. Leszek i Maria widzieli wielu entuzjastów takich sportów, jak odziani w kombinezony, kaski i kamizelki przygotowywali się do spływu, albo walczyli z nurtem rzeki. Ich stroje w niczym nie przypominały wojskowych mundurów cesarsko-królewskiej armii, jednak poszukiwaczom wojennych śladów sportowe kombinezony kojarzyły się właśnie z mundurami. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat... nad grobami wieje wiatr”, nucili sobie jadąc samochodem w dół doliny.

Front odległej w czasie wojny rozciągał się od okolic Montefalcone, położonego przy ujściu Soczy do Adriatyku, czyli nieopodal malowniczego miasta Triest, aż do rejonu Trentino. Cmentarzy wojennych jest sporo, są zwykle ukryte w zagajnikach, a wśród zabudowań miejskich znaleźć można muzea

poświęcone tej jednej z największych i najdłuższych bitew w historii świata. Leszek i Maria odwiedzili kilka cmentarzy, kilka muzeów. Przywieźli zdjęcia wielkiego mauzoleum włoskiego w Oslaviji, między innymi zdjęcia z wnętrza obszernej rotundy wieńczącej szczyt wzgórza, ku któremu wiodą szerokie kamienne schody obramowane ścianami wysokich cyprysów. Tam też, osłonięci przed podmuchami wiatru, w panującej wokół zupełnej ciszy, zapalili znicze w imieniu rodziny Sawickich. Modlitwę poświęcili nie tylko pamięci Franciszka, ale i setek tysięcy ofiar krwawych bojów, które toczyły się aż do października 1917 roku, gdy ofensywa austriacka i niemiecka powstrzymała umiarkowane zwycięstwa Italii i jej postępy terytorialne osiągnięte w jedenastu poprzednich bitwach. Tę ofensywę poprzedził atak gazowy pod Bevecem, który doprowadził do przerwania frontu i panicznego odwrotu armii włoskiej. Ten odwrót opisany został na kartach „Pożegnania z bronią”.



Oslavija. Leszek Sawicki zapala znicz
w imieniu rodziny Sawickich.

Nim Leszek i Maria pożegnali się z zieloną doliną Isonzy, znaleźli się w miejscowości Logu, niedaleko krasowych źródeł rzeki. Nad okolicą górują wapienne szczyty Rombom (2,208 mnp) i Czukla (1,767 mnp). W tej zagubionej w górskiej okolicy miejscowości jest cmentarz z 859 mogiłami żołnierzy cesarsko-królewskiej armii. Wielu z nich nie zostało nigdy zidentyfikowanych,

ustawiono nad nimi bezimienne krzyże. Większość tych żołnierzy poległa 24 października 1917 roku, w decydującym dniu bitwy, podczas ataku na włoskie pozycje pod Czyklą. Bitwa rozegrała się pod osłoną śnieżnej burzy, więc w warunkach, które sprzyjały atakującym. Najwięcej poległych było żołnierzami 59 salzburskiego pułk piechoty, ale i wśród nich znaleźć można słowiańskie nazwiska. Nagrobki Węgrów przystrojone są wstążkami o narodowych barwach, co świadczy o pięknej, nieustającej pamięci rodaków. Polskich wstążek nie było na żadnym cmentarzu. Na cmentarzu w Bovecu nie ma tablic z nazwiskami, groby są puste, bo szczątki włoskich żołnierzy zostały przeniesione do wielkiej kostnicy w Kobaridzie. Najlepiej zadbane cmentarz Leszek i Maria odnaleźli w Ukancu, na zachodnim brzegu jeziora Bohinskiego. Czytelne tabliczki na krzyżach pozwalają bez trudu zidentyfikować żołnierzy z obu lwowskich pułków.

Kobarid to niewielkie miasto z kościołem o szpiczastej wieży, z hotelem i kilkoma restauracjami. W literaturze znane jest lepiej pod nazwą Caporetto. Leszek i Maria stwierdzili, że literackie opisy sprzed lat niewiele różnią się od dzisiejszych widoków. Niskie domy z „Pożegnania z bronią” i dziś zdobią balkony tonące w kwiatkach. Wąskie, kręte ulice wypełnia co pół godziny głos kościelnego dzwonu. Nie ma tylko fontanny na zapleczu jednego z domów przy rynku opisanej w książce. Muzeum w Caporetto mieści wiele eksponatów z pól bitewnych. Można

zobaczyć broń, amunicję, ulotki, listy, fotografie i szkice sytuacyjne. Hełm podziurawiony dla odcedzenia makaronu, obok denko menażki, też podziurawione, by umożliwić przesiewanie parmezanu. Na zdjęciach ogrom zniszczeń: ruiny domostw, kręte linie okopów z tysiącami poległych, jeńcy wojenni i ewakuowana ludność cywilna. Jedną z sal wypełnia ogromna mapa plastyczna walk nad Soczą. Obok schron skalny, w którym umieszczono w pozycji siedzącej woskową figura żołnierza. Jest to młody człowiek we włoskim mundurze. Siedzi pod skalną ścianą i pisze list.

Włosi byli gospodarzami doliny Isonzo w latach 1919-1947. Wybudowali na wzgórzu nad Caporetto wielki panteon, w którym zgromadzono szczątki żołnierzy. Jadąc w dół doliną rzeki dojeżdża się w końcu do wsi Pevma, czyli Piume, którą włoskie archiwum wskazało jako miejsce pochowania Franciszka. Wieś to właściwie podmiejskie osiedle Gorycji, miejscowości, w której wille i pałace posadowione na wzgórzach toną w zieleni ogrodów. W samym Piume jest kilkanaście domów, kościół i szkoła. Budynek szkolny to nie ten sam, w którym w czasie wojny mieścił się szpital, ale stoi na tym samym miejscu, za tym samym murem. Leszek i Maria dotarli do Piume po południu. Kościół znaleźli zamknięty, plebanię bez znaku życia. Szukali kogokolwiek, z kim mogliby zamienić parę słów. Zapukali do drzwi jednego z domów na zapleczu kościoła i zostali zaproszeni na kawę. Wkrótce odkryli, że dla trzech pokoleń mieszkańców

tego domu, łącznie z babcią w wieku lat 78, historia bitewna jest niemal rodzinną historią. Domownicy opowiadają o walkach, pokazują zdjęcia. Mówią, że poległych żołnierzy armii austriackiej grzebano po przeciwnej stronie szosy. Szkoła i kościół zostały zburzone podczas wojny, dopiero później je odbudowano. Jedno ze zdjęć w rodzinnym albumie zostało zrobione podczas pogrzebu żołnierza na cmentarzu w Pevme. Obok trumny stoi kapelan, koledzy. Dalej ustawiono szereg krzyży ze stożkowymi okapami. Cmentarz wojskowy został zlikwidowany przez Włochów w latach 1936-1937, szczątki przeniesiono do panteonu w Oslaviji, jeden kilometr dalej. To w Oslaviji armia generała Cadorny starała się przebić na wschód, omijając miasto Gorycja. Oslaviji broniły oddziały austriackiej piątej armii, a wśród nich 30 i 80 pułki piechoty ze Lwowa. W albumie wydanym w Słowenii przeczytać można, że trzecia i czwarta bitwa nad Soczą toczono na przedpolu Gorycji, na linii obronnej Podgora-Pevma-Olavija-Sabotin. Najkrwawsze walki stoczono o wzgórze nr 153. Walki toczyły się według schematu: zmasowany atak artylerii, kontratak, ogień zaporowy wroga, nieco spokoju, poczem zmasowany ogień artylerii drugiej strony. Okopy zdobywano w walkach wręcz, z użyciem noży, saperek, w czym celowały zwłaszcza oddziały dalmatyńskie i bośniackie. Włosi używali nabitych gwoździami buzdyganów. W tych walkach pozycyjnych tracono lub zdobywano po kilkaset metrów kwadratowych terenu.

Może wróć ciężko ranny,

lub dostanę krzyż drewniany, może ma mogiła stanie

gdzieś w wąwozie na Bałkanie,

nucił stryj Leszek pokazując mi album i komentując fotografie. I czytał dalej. W nocy na 30 listopada 1915 roku generał Zeidler dowodzący 58 austriacką dywizją, zluzował pięć batalionów umęczonych obrońców Oslaviji. Włosi zaprzestali tej nocy ataków z powodu trudnych warunków atmosferycznych, ale ich artyleria dalej strzelała. Dziś na szczycie osławionego wzgórza nr 153 wznosi się otoczona cyprysami wielka kamienna rotunda. Wśród żołnierzy włoskich spoczywa też kilkuset żołnierzy armii austro-węgierskiej. O nich właśnie Leszek zapytał starszego mediolańczyka, kustosa muzeum. W spisie poległych, który przyniósł kustosz nie było jednak nazwiska Franka. Leszek dostał włoski formularz adresowany do Ministrero della Difesa, by mógł skorzystać z niego tak, jak korzystał z uprzejmości austriackich urzędników. Ale poszukiwania te nie przyniosły żadnych rezultatów. Przed wejściem do rotundy stoją dwa działka polowe, może jedno z nich strzeliło w 1915 roku w kierunku szkolnego budynku w Pevme-Piume? Leszek i Maria wrócili do kraju nie spiesząc się. Jechali pod pogodnym, błękitnym niebem ostatnich dni lata. Przejeżdżali znowu przez białe Alpy, mijali intensywnie

zielone łąki w dolinach i spokojne, małe osady. Pamiętali o małej osadzie Pevme-Piume tonącej w oleandrach i winorośli. Pamiętali twarz młodego człowieka z krótko przystrzyżonymi włosami, ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Oczy przykrywały ciężkie, a może tylko zmęczone powieki, spod których patrzyły zamyślane oczy.

Powrót



Teresa Fabijańska-Żurawska

Dnia 23 lipca 1944 roku opuszczał swą ukochaną rezydencję IV ordynat na Łańcucie Alfred hr Potocki udając się via Kraków do Wiednia. Nie myślał wtedy o rychłym powrocie do rodzinnego gniazda, ale był pełen ufności, że Zamek i tym razem ostatnie się zawierusze wojennej, będąc jak zawsze pod opieką „dobrego Anioła Stróża”, jak sam określił. Wszak wraz z matką swą Elżbietą z Radziwiłłów, jeździł do Leżajska, by przed cudownym obrazem jaśniejącej Matki Najświętszej powierzyć Zamek i siebie Jej opiece. Czy wierzyli na prawdę w tę siłę nadprzyrodzoną? Faktem jest, że Zamek ocalał, a właściciele dożyli swoich dni.

Ostatnie miesiące Łańcuckiej egzystencji wypełnione były pracą przy pakowaniu i wysyłaniu rzeczy do Wiednia. W swoim pamiętniku Alfred hr Potocki opisuje niemal dzień po dniu przygotowania, jakich dokonywano w Zamku do końca marca 1944 roku. Należy wspomnieć, że w czasie okupacji sztab wojska niemieckiego zajął część Zamku pozostawiając ograniczoną swobodę gospodarzom.

Pakowanie stało się faktem. Uprzątaliśmy komnatę jedną po drugiej z obrazów, mebli, porcelany, kryształów i całej

reszty. Niektóre z nich moi służący opłakiwali łzami, niezdolni do powstrzymywania emocji. To wyglądało jak koniec świata (...) Pamiętam jak stanąłem w pustym pokoju patrząc jak pada śnieg, a oficerowie niemieccy wchodzili i wychodzili z Zamku (...) To już nie było moje ognisko. Przychodzili poinformować mnie, że cały zamek będzie zajęty.

Pracowaliśmy w nocy wśród pomruków bombowców latających tam i z powrotem nad Zamkiem. Niejednokrotnie byłem na nogach aż do świtu doglądając pakowania porcelany i kryształów.

Nasze zasoby wyczerpywały się. Każdego dnia wydawaliśmy 400 posiłków bez liczenia tych, dostarczanych do około 200 uciekinierów i dla naszych biednych na miejscu. Na początku maja 200 uciekinierów dodatkowo przybyło ze Lwowa. Wydałem rozporządzenie by ich karmili aż do momentu, gdy nie zostanie ani jedna kromka chleba.

Zdecydowałem się wysłać do Wiednia zapakowane skrzynie i 10 maja załadowano 75 na dworcu w Łańcucie. Dwa dni później posłano 174 dodatkowo. Widziałem jak odjeżdżały i pytałem siebie czy je jeszcze zobaczę.

W połowie lipca Elżbieta Potocka wyjechała do Bad-Gastein, a następnie do Wiednia. Syn dołączył do niej 1 sierpnia. Zamieszkali w hotelu „Bristol”, gdzie nie byli jedynymi uciekinierami z Polski. Rzeczy łańcuckie, w sumie około 640 skrzyń dojechały do Wiednia i zostały w pałacu Lichtensteinów. W czasie bombardowań niektóre uległy zniszczeniu. Później podzielono je na dwie części. Jedna pojechała do Waduz, druga do Feldkirch w Austrii przy granicy z Lichtensteinem na odpłatne przechowanie w firmie Gebruder Weiss. Naloty zmusiły Potockich do wyjazdu 15 marca 1945 do księstwa Lichtenstein, później do Lozanny w Szwajcarii.

Dziś w Łańcucie wielu ludzi wspomina hrabiego Alfreda z najwyższym szacunkiem, szczególnie gdy w latach okupacji zatrudniał ich w Zamku czy w ogrodach dając możliwość tym samym przeżycia całym rodzinom i uratowania ich od wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Kobiety znajdowały zatrudnienie w szkole hafciarstwa założonej przez hrabinę Romanową lub przygotowaniu obiadów dla uciekinierów i biednych. Zamek zawsze opiekował się nimi i czyniła to osobiście każdorazowo ordynatowa. Tak było i w ten czas niewoli.

Oczywiście wspominają i dobre czasy: polowania, przyjmowanie dostojnych gości, piękne powozy i widowiskowe zaprzęgi. Łańcut był salonem Rzeczypospolitej dla oficjalnych gości rządowych i salonem Europy dla gości Potockich.



Elżbieta Maria
Matylda z
Radziwiłłów
Potocka,
urodzona w
Berlinie, córka
Antoniego ks.
Radziwiłła i Marii
de Castellane,
żona Romana hr
Potockiego,
matka Alfreda i
Jerzego.

Elżbieta Maria Matylda urodzona w Berlinie, córka Antoniego ks.

Radziwiłła i Marii de Castellane, żona Romana hr Potockiego, matka Alfreda i Jerzego. W rodzinie nazywana była Betką, a przez służbę Excellencją. Jej to właściwie Zamek zawdzięcza dzisiejszy wygląd, modernizację (słynne łazienki, elektryczność, system ogrzewania etc.), założenie obecnych ogrodów w obrębie fortyfikacji i trzydziestohektarowego parku poza fosą. Także wzniesienie nowych, monumentalnych budynków stajni i powozowni. Wraz z mężem swym, poślubionym w Berlinie w 1885 roku z nadzwyczajną wytrwałością i świadomym programem pracowała nad wspaniałością Łańcuta nie niszcząc tego, co dawne, piękne, historyczne. Szczególnie zachowując wnętrza-komnaty zamkowe księżnej Marszałkowej Izabeli Lubomirskiej słynącej z umiłowania sztuk pięknych, dobrego smaku i zatrudniania najlepszych artystów epoki.

O swoich pierwszych wrażeniach i przebudowie całego zamku pisze Elżbieta hr Potocka we „Wspomnieniach”, które zachowały się w rękopisie w bibliotece muzealnej. Są pisane barwnie, a przy tym z dokładnością dokumentu czasu. Świadczą o jej żywości umysłu, wyobraźni i poczuciu humoru. Pokazują też ogrom pracy włożonej przed z górą stu laty, widocznej dzisiaj.

Wszystko to, by Łańcut błyszczał i promieniował swą kulturą w następnych, nieraz bardzo trudnych ekonomicznie i politycznie latach. Można powiedzieć, że zawsze uczył i radował, inspirował i zachwycił.

Pierwsze lata małżeństwa Elżbieta hr Potocka spędziła z mężem w Wiedniu, gdzie zasłynęła nie tyle urodą co urokiem, elegancją, pięknem toalet i ekwipaży. Później, po śmierci teścia w 1889 roku, gdy została ordynatową, czuła się i była z górą pół wieku panią na Łańcucie.

W ostatnich latach życia dane jej było dzielić wraz z synem los emigrantów. Zmarła w sędziwym wieku 89 lat dnia 13 maja 1950 roku w Lozannie i tam została pochowana na pięknym cmentarzu patrzącym na jezioro Lemana (Genewskie).



Alfred Antoni hr
Potocki, IV
ordynat na
Łańcucie.

Jej starszy syn, Alfred Antoni ur. 14 czerwca 1886 roku w Łańcucie, został po śmierci ojca w 1915 roku czwartym ordynatem łańcuckim. Był dziedzicznym członkiem Izby Panów i prezesem krakowskiej „Resursy”. W ostatnich latach życia został kawalerem Krzyża Maltańskiego.

Młodszy syn Elżbiety – Jerzy Józef urodzony w Wiedniu 21 stycznia 1889 roku otrzymał dobra pomorzańskie położone na wschód od Lwowa. Malowniczy renesansowy zamek w Pomorzanach posiadał niegdyś czworoboczny dziedziniec z krużgankami, po którym zostały dwa okazałe skrzydła z narożnymi wieżami i oficyną z późniejszych czasów. Jeszcze dzisiaj podziwiać można szlachetne propozycje i detal architektoniczny wysokiej klasy. Do Pomorza wiedzie przepiękna, szeroka droga przez Złoczów. Wielowiekowy, historyczny zamek był niszczonej najpierw najazdami Tatarów, później innymi wojnami, ale został pięknie odrestaurowany na początku lat trzydziestych przez Jerzego hr Potockiego i jego żonę Susanę Iturregui y Orbegoso, która, jak tradycyjnie każda z pań Potockich, inicjatywą i finansami wsparła do niełatwe i kosztowne przedsięwzięcie. Ta para urodziwych ludzi ślub zawarła w Paryżu w obecności obu matek – wdów, dnia 28 czerwca 1930 roku i na pierwsze lata osiedlili się we Francji nie zapominając o swym tak bardzo włoskim zamku w Pomorzanach. Zauroczona jego wspaniałą architekturą i historią nowa pani domu, szykowna i miła, gospodarna, dobra i zapobiegliwa,

wzorowo zajmowała się wszystkim. Władając językiem polskim, którego nauczyła się chętnie, miała dobre kontakty z miejscową ludnością, wśród której prowadziła działalność charytatywną.

Urodziła się w Limie 8 października 1898 roku. Ojcem jej był Juan Manuel Iturregui, matką Susana Obergoso de Iturregui.

Rodzina Iturregui (Yturregui) przybyła z Hiszpanii do Peru w końcu XVIII w. Najbardziej znanym w historii był Juan Manuel Yturregui – dziadek Susany, wielki przyjaciel San Martina, z którym wywalczyli razem niepodległość Peru, w połowie XVIII w. Luis Jose Orbegoso – pradziadek Susany po kądzieli – był marszałkiem i prezydentem Peru.

Jerzy hr Potocki jako młody człowiek służył w wojsku austriackim, co uwiecznił pięknym portretem Wojciech Kossak. Za wolnej Polski, w 1919 roku Jerzy stał na czele polskiej misji wojskowej w Budapeszcie, a w latach 1919-1920 był adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego uwielbiał z wzajemnością. Następnie wybrany został senatorem z okręgu tarnopolskiego i tę funkcję musiał pozostawić po nominacji go na ambasadora Polski w Turcji. Jak powszechnie wiadomo, Turcja nie uznawała rozbiorów Polski i co roku padało pytanie: *„Gdzie jest poseł z Lechistanu?”*. Odpowiedź brzmiała: *„Nie przybył”*. Jerzy hr Potocki w 1933 roku jako pierwszy po wielu latach mógł ze wzruszeniem wstać i powiedzieć: *„Oto jestem”*.



Jerzy Józef hr
Potocki, młodszy syn
Elżbiety i Romana
Potockich.

Stworzenie nowej placówki dyplomatycznej w Ankarze nie było łatwe. Remont zakupionego obiektu był kosztowny, sfinansowali go małżonkowie Potoccy z własnych funduszy rodzinnych. W 1936 roku Jerzy został ambasadorem Polski w Waszyngtonie z równoczesną nominacją na posła przy rządzie Republiki Kubańskiej, co trwało do 14 grudnia. Oboje Susana i Jerzy dużo podróżowali zabierając ze sobą urodzonego w 1932 roku syna Stanisława. Łańcut, Pomorzany, Paryż, Ankara, Waszyngton, Lima. Około 1939 roku Pomorzany wynajął od Potockich ambasador USA w Polsce Anthony Biddl. Sowieci wkraczający do

Polski 17 września 1939 otrzymali rozkaz ominięcia i uszanowania tej prywatnej rezydencji, na której wisiała flaga amerykańska. Status nietykalności zachowały Pomorzany także w 1941 roku gdy Niemcy uderzyły na Rosję. Wówczas jeszcze Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Niemcami. W 1944 roku wraz z ofensywą sowiecką na zachód fala dzikiej nienawiści i tutaj sięgnęła. Pomorzany zostały splądrowane, czego nie udało się ukraść, zniszczono. Alfred hr Potocki zdawał sobie sprawę jakie zagrożenie nadchodzi dla Łańcuta.

W czasie wojny Susana hr Potocka organizowała pomoc finansową i żywnościową głównie dla jeńców za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Na ten cel w miejscowości Pau we Francji organizowała koncerty charytatywne zapraszając takich muzyków jak Radwan, Małcużyński czy Szering.

Jerzy hr Potocki zaprzyjaźniony z prezydentem Roosveltem zaofiarował mu swoją pomoc w pertraktacjach ze Stalinem. Doskonała znajomość języków, w tym rosyjskiego, oraz Kresów i mentalności sowieckiej mogły być niezwykle przydatne. Niestety został zlekceważony, zrezygnowano z jego propozycji. Był niewątpliwie zdolnym dyplomatą i gdyby nie wojna, życiorys byłby jeszcze ciekawszy.

Po wojnie ofiarowało mu obywatelstwo kilka krajów: Stany Zjednoczone, Kuba, Austria, Peru. Nie zrzekając się polskiego,

przyjął obywatelstwo maltańskie zostając ambasadorem Zakonu Kawalerów maltańskich w Limie, gdzie wraz z żoną i synem zamieszkali od 1941 roku.

W działaniach ambasadora Polski wspierał go zawsze brat Alfred chociażby przez wydawane uroczyste przyjęcia w łańcuckim zamku i organizowane ciekawe, pełne emocji polowania. Obaj byli przednimi myśliwymi trzech kontynentów. Dotąd zachowały się w Powozowni Zamkowej w Łańcucie liczne fotografie ze słynnych safari fundowanych przez ordynata łańcuckiego w 1924 i 1926 roku do Sudanu. Obaj również uprawiali sporty takie jak gra w polo czy golfa, z czego słynął Łańcut.



Susana Iturregui y
Orbegoso, żona
Jerzego hr
Potockiego.

Obaj bracia pozostawili swoje wspomnienia. Fragmenty książki Alfreda, cytowane na początku, oddają atmosferę grozy przed nadchodzącym frontem sowieckim. Jerzy napisał książkę „Na wojnie i na łowach” – wspomnienia z lat wojny 1914-1916 i kontaktów z naturą podczas licznych polowań. Inne drobne artykuły w „Łowcy” zdradzają człowieka wrażliwego, miłośnika lasu i całej przyrody, znającego obyczaje zwierząt i ptaków, umiającego wsłuchiwać się w życie, rozumieć je i szanować. Jerzy hr Potocki był niewątpliwie postacią interesującą, niezwykłą, godną biografii. Wielka szkoda, że nieznany jest los obecny jego pamiętników oraz ich tłumaczenia dokonanego przez Louise de Villemoran na język francuski.

Na krótko przed śmiercią Jerzy hr Potocki napisał list do Władysława Gomułki z prośbą o zezwolenie mu na przyjazd do Polski, by tu dokonać swego życia. Nie dano mu możliwości nawet krótkiego, „turystycznego” pobytu. Zmarł 20 września 1961 roku w Lozannie, a jego starszy brat, ordynat łańcucki zmarł 30 marca 1958 roku w La Roche-sur-Foron. Obaj mieli po 72 lata. Pochowani zostali u boku ukochanej matki. Susana żyła długo, zmarła w sędziwym wieku 92 lat 19 lutego 1989 roku w Lozannie i tam została pochowana.

Po wielu latach wrócili do Łańcuta, do należnego im miejsca –

matka z synami i synową. Stało się to za sprawą syna Jerzego, Stanisława hr Potockiego i jego żony Rosy z hr Larco de la Fuente, którzy postanowili dopełnić historii i pochować swoich bliskich w rodzinnym mauzoleum pod farą w Łańcucie. Powtórny pogrzeb Potockich w Łańcucie odbył się 20 września 2001 roku.